

11 B14

218

WATERLOO

891.74-94.

~~II 1931~~

KAZIMIERZ TETMAJER

WATERLOO

POWIEŚĆ

WIL



WARSZAWA — E. WENDE I SKA

POZNAŃ — FISZER I MAJEWSKI; ŁÓDŹ I KATOWICE — LUDWIK FISZER
TORUŃ I SIEDLCE — TOW. WYDAWNICZE „IGNIS”.



ODBITO CZCIONKAMI DRUKARNI
NARODOWEJ W KRAKOWIE
1 9 2 5



11 B31

W-235/01

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0124839

43,-

Noe była ciemna. To rotmistrz Zaremba czuł choć oczy miał zamknięte. Leżał niby świadomy siebie zupełnie, a zbyt bezsilny, aby powieki odemknąć. Jakieś piekło było poza nim...

Cesarz pobity... mostu złomy i ludzi, krwawe części ciała w powietrzu... Księżę Józef z wody mętnej i brudnej ramię dźwiga... z głowy jego prąd czako łańskie zrywa — — porywa — — niesie precz...

Nieprzejrzane, niezgłębione śniegi...

Czerwone dłonie z ognia chwyciły Zaremby głowę za skronie. Były to najwyraźniej dłonie złego ducha. Palce wpiły mu się w skronie, a w głowie mózg, czy głowa cała tak szalonym pędem zawirowała, jak gdyby ją młyn rozpedzony toczył — —

usiłował Zaremba oczy otworzyć, myśl złapać, wiedział o sobie — —

lecz wir ten nie ustawał; w niesłychanym pędzie przed oczyma jego leciały bitwy, śniegi, postoje, podróże, bale, uczty, marsze, morza i rzeki, zwały trupów i patrole kawalerji w lasach zielonych, gliniaste drogi z czerwonymi plamami krwi i groźna twarz cesarza w marmurze kuta — — wydawało mu się, że chce chwycić się czegoś, że chce się o coś zaczepić — wzmógł się na koniec, natężył, podźwiga ramiona, za dłonie czerwone u skroni chywyta — — odrywa — —



mózg w sztuki pryska, żywy ogień rozsadza głowę...

Ocknął się. Snać usnął i spał długo. Szarzeń zaczęła. Wsparły leżał o siodło martwego konia. Począł sobie przypominać wszystko myślą ciężką i senną. Runął z koniem, którego w łeb kulą karabinową ugodzono, i widocznie zemdłał. Omdlenie to musiało u człowieka tak znużonego przejść w sen, bo niepodobna, aby tak długo leżał bez przytomności, nie będąc ani rannym, ani nie czując żadnego, prócz słuchania, szwanku w ciele.

Wsparł się na rękach i usiadł.

Gęsta jesienna mgła zalewała widnokrąg.

Zaremba wysilił myśl, aby sobie uprzytomnić, po której stronie miał Elstere, poczem ujął pałasz leżący obok, powstał i opierając się na pałasz, począł iść w stronę rzeki, której szum coraz wyraźniejszy sam go ku niej prowadził.

Było dawno po bitwie. Na przekłętym miejscu między Pleissą a Elstere, w przekłętym ogrodzie, martwa była cisza. Rannych tu być nie musiało, same trupy. Trupy, druhowie serdeczni Napoleńskiego żołnierza. Trupami cesarz siał świat...

Szum zatrzymał go u brzegu rzeki. Skoczyć wplaw i przepłynąć w mroku było niemożliwym. Zaremba więc usiadł na ziemi, wsparł obie dłonie i czoło na rękojeści pałusza i czekał pierwszej jasności.

Grobowy smutek leżał mu na duszy.

Wojsko polskie wytracone, Poniatowski utonął. Napoleon pobity, sprawa polska przepadła...

Zaremba uczył jakoby osobistą swoją krzywdę.

Wszystko, co miłował, w co wierzył, co wielbił, cała religja jego życia w proch poszła. Boże! — jęknął — zaiste tylko Polak może być do tego stopnia nieszczęśliwy! Do takiego ostatka!...

Ktoś traci jedno, drugie, trzecie — przecież mu coś zostaje — ale cóż jemu zostało?!...

Gdy wiara jego kazała mu iść dalej „za cesarzem“, ten cesarz, pobity w Rosji, był jeszcze panem połowy Europy — dziś, pobity w Niemczech, jest już tylko cieniem siebie samego i nie dla Polski uczynić nie może.

Onże to, on, Napoleon Bonaparte?!

Zarembie płacz nieomal gardło ścisnął. Lecz równocześnie budziła się w nim jakaś zaciętość. Pójdę za nim — szeptał — pójdę za nim wszędzie, na każdą dolę, aż do jego, czy mego kresu. Jestem jego żołnierzem, jego oficerem, służę w jego armji, chybaby przeciw mojej ojezyźnie wystąpił, a tego nie uczyni, abym go opuścił. Niech się dzieje, co chce, pójdę za nim. Dziś tem więcej, gdy go bronić potrzeba!...

Nim pierwszy brzask się pojawił, zaszył się Zaremba w zarośla, aby nie wpaść w oczy możliwym patrolom nieprzyjacielskim i posuwając się wzdłuż Elstery, przez płoty, częścią pogruchotane od kul armatnich, poza obszar ogrodów lipskich mieszczan wyszedłszy, w zagaje się dostał, gdzie kładkę znalazł. Za kładką niewielki las przebywszy, wieś saską zobaczył.

Tam jeszcze ludzie nie wiedzieli, że saski korpus Napoleona zdradził i na stronę skoalizowanych prze-

szedł w czasie walki, własnego króla odstępując; wiedzieli tylko, że Francuzi bitwę przegrali. Polskiego więc oficera przyjęli życzliwie i odprzedali mu wiejskiego konia z chłopskim siodłem, wskazawszy, w której stronie widzieli wojsko cesarskie. Zaremba ruszył w tropy armji francuskiej.

Niedługo począł napotykać pierwsze grupy maruderów, potem coraz częstsze, a z rozmów z nimi miarkował, gdzie ma szukać pozostałych resztek polskiego wojska. Jakoż dojechał ich w Klein Zschocher, na trakcie do Lützen.

Wojsko przedstawiało opłakany widok. Nie byli to ci żołnierze zgłodniałi, zbiedzeni, raczej do widm niż do ludzi podobni, pełni rozpacz, wściekłości, strachu, śmiertelnie utrudzeni, bez broni, w chłopskich kożuchach i babskich płachtach, wlokący się bezwładnym krokiem zimowej kampanji 1812 roku — owszem był to żołnierz zgoła rozbity, ale fizycznie jeszcze zupełnie zdolny do działania. To, co w nich uderzało, to był wyraz beznadziejnego zwątpienia i gorczy. Żołnierz kampanji rosyjskiej był zaskoczony klęską, zdumiony nią i przerażony tem, że przyjść, przydarzyć się mogła — żołnierz lipski przestał już wierzyć w zwycięstwo. Spuszczone oczy, zacięte usta świadczyły o zupełnem zniechęceniu wewnętrznem. Armja 1812 roku uciekała i przeklinała — ci ludzie raczej milczeli, uchodząc. Tamci złorzeczyli konając — żywi byli, lecz w sercach nieśli sąd.

Byłby Zaremba pragnął zobaczyć Napoleona, rzucić na tego wodza wzrok podkomendnego, jęgo żoł-

nierza, gdy powszechnie opowiadano, iż po tej drugiej klęsce pod Lipskiem czuto się już w otoczeniu cesarskiem bliżej tej wielkości, mniej zniska podnoszono na nią oczy, a ostry sąd i krytyka stały się powszechną rozmową. A przecie był to on!

Opowiadano też, iż wiadomość o oświadczeniu Polaków, iż dojdą tylko nad Ren, niejako w eskorcie, przyjął Napoleon spokojnie i bez urazy. Odstępowali go teraz wszyscy sprzymierzeńcy; zdradzili go wszyscy, zdradzano w podły sposób. Polacy zameldowali mu swoje odstępstwo lojalnie, dawszy mu wszystko z siebie przedtem, co dać mogli. Co myślał, niewiadomo; oburzenia, ani nawet niezadowolenia nie okazał.

Nagle, 28-go października, gdy szeregi polskie maszerowały z Fuldy do Gelnhausen, zjawił się przed nimi. Czy spotkał się przypadkiem, czy umyślnie skierował, nie wiedzieli.

Ujrzał wtedy Zaremba cesarza. Nadszedłszy w karecie, zatrzymał on polski korpus i wysiadłszy, kazał stanąć przed sobą kołem oficerom, których na 3.000 obecnego żołnierza było dosyć na 30.000. Stał naprzeciw spokojny zupełnie, bez jakiegokolwiek widocznego wzruszenia, lub choćby krytego przygnębienia; powiódł wzrokiem po stojących przed sobą, założywszy rękę, jak miał w zwyczaju, prawą za mundur na piersiach, lewą wtył za siebie. Cesarzem był nawskróś — nie przez wspaniałość postawy, której aż nadto nie miał — przez wyraz oblicza. Wśród zupełnego milczenia zaczął, powtarzając często to samo, co jedno świadczyło o wewnętrznym rozstroju:



— Oficerowie i żołnierze polscy! Dowiaduję się, iż są pomiędzy wami, co was namawiają do opuszczenia mojej armji, skoro nad Renem stanę. Mylą się ci, co wam tak radzą. Nie uczynilibyście tego bez złamania wiary waszej i nadwyrężenia drogiego wam honoru wojskowego. Nie przestałem być człowiekiem Europy; Czy mnie wypadki odmieniły? Patrzcież się na mnie: nie schudłem dlatego. Wiercie mi, los wasz ode mnie jeszcze zależy. Jeżeli będę zmuszony opuścić Księstwo, włączone będą w traktat pokojowy punkta, które was obejmują, gdzie wasze rangi będą uznane, wasze miejsce zabezpieczone wobec wszelkich konfiskat. wreszcie powrócenie do swoich ognisk domowych, do waszej ojczyzny jako ludzie honoru. Jeżeli zechcecie teraz odejść, będziecie uważani jako więźniowie wojenni; nie może inaczej być. Jeżeli zaś Księstwo Warszawskie, jak zawsze jeszcze myślę, będzie istniało nadal, wejdziecie tam przy odgłosie bębnow. Nic innego tylko lekkomyślność popchnęła was do tego kroku, nic innego tylko polska lekkomyślność. Wiedzieć, iż, jak wam mówię, powracając do waszego kraju, nie możecie być inaczej traktowani, tylko jak więźniowie wojenni. Tylko albo lekkomyślność polska spowodowała w was tę zmianę usposobienia, albo wielkie straty poniesione w bitwie, albo może strata księcia Józefa Poniatowskiego, ale co do niego niema żadnej pewności; mam wiadomość, że przebył rzekę Wpław i że się schronił w lasach koło Lipska.

Cesarz zatrzymał się, skłamałszy. W tej chwili ko-

rzystając z pauzy, wyrwał się przed starszymi Krukowiecki:

— Jednak, najjaśniejszy panie, daliśmy dosyć dowodów, że jesteśmy wytrwali w sprawie, której brnimy.

Cesarz podjął łagodnie:

— Nie mam panom nic do wyrzucenia, jesteście dzielnymi ludźmi, ludźmi honoru, nie mam panom nic do wyrzucenia, ale to jest niestałość narodowa, polska lekkomyślność.

Cesarz znowu zatrzymał się. Artur Potocki ośmielił się zauważyć:

— Gdyby wasza cesarska mość powiedziała nam to była przed ośmiu dniami, my — —

Cesarz przerwał mu, ale również łagodnie:

— Nie przypuszczałem, że będę potrzebował. A potem czy wam się wydaje, że dwa, albo trzy tysiące Polaków znaczą co w mojem położeniu? Nie sądzicież tak. Miałem wiele innych rzeczy do myślenia. Rozumiecie mnie, panowie?

— Rozumiemy, najjaśniejszy panie — odparło paru generałów.

Cesarz zwrócił się do Dwernickiego:

— A pan?

— Rozumiem, najjaśniejszy panie — odpowiedział Dwernicki służbowo.

— A zatem, panowie Polacy, trzeba pozostać. Nie mówię wam tego, jako cesarz Francuzów, ale mówię do was jako człowiek Europy. Jeżeli powrócicie teraz do waszej ojczyzny, wasi współrodacy będą wam wy-

rzucali, że opuściliście sprawę, której broniliście. Nie mniemajcie, że wszystko jest stracone. Jesteście pewniejsi teraz odbudowania waszej ojczyzny, kiedy stoje na czele sześćdziesięciomiljonowego narodu, niż kiedy byłem w 1809-tym na czele stu tysięcy ludzi. Można wam zarzucić, że wówczas było taką samą lekkomyślnością chwytać za broń, jak teraz opuszczać mnie. Zresztą zapomnijmy o wszystkim, nie mówmy o przeszłości. Dam wam miasto we Francji, gdzie się zorganizujecie, gdzie będziecie dobrze płatni i dobrze ekwipowani. Cóż to jest tak złego przepędzić zimę we Francji? Pułki panów będą dokompletowane jeńcami, mamy jeszcze ludzi w szpitalach, w zakładach, znajdziemy ich więcej, a na przyszłą wiosnę rozpoczniemy na nowo.

Cesarz przestał i zażył tabaki. Szukał on wrażenia na twarzach oficerów. Szukał wrażenia teraz właśnie, kiedy rzekł o przyszłej wiosnie, znowu o wojnie. Polacy mogli być próbką wobec Francji. Ale spostrzegł, że wyrazy ich twarzy są mniej posępne, że wzmianka o nowej znowu wojnie tym i owym oczy blaskiem zażęgła. Począł więc dalej mówić, starannie nie dając poznać, dlaczego przestał.

— Nie traćcie nadziei, panowie Polacy. Jedno odniesione zwycięstwo może mnie zaprowadzić nad Elbę, drugie nad Odrę. To wiecie, że nie kosztuje mnie to wiele wygrać bitwę. A bitwa pod Lipskiem? Ale ja ją wygrałem. Czy zostaliście zwyciężeni? Czy ustąpiliście pozycje nieprzyjacielowi?... Szesnastego wystrzelano osmdziesiąt tysięcy ładunków armatnich, osmnastego

dziewięćdziesiąt tysięcy, nie miałem więcej amunicji, a nadto ta szelma bawarska wypowiedziała mi wojnę. Muszę się cofnąć. Król wirtemberski postąpił ze mną lojalnie, przysłał mi oświadczenie, że został zmuszony przez okoliczności do wypowiedzenia mi wojny. Ale cóż to jest taki błazen Wrede i wszyscy ci książęta niemieccy. Jak w bajce o lwie i osle. A dziesiętnastego rozkazuję pułkownikowi wysadzić most, gdy cała armja przejdzie, a ten go wysadza, gdy znaczna część armji była jeszcze z drugiej strony mostu. To są rzeczy, na które nie mam lekarstwa. Muszę się cofnąć. A potem trzeba odpocząć. Francuzi są zbyt zmęczeni wojną. Oto jak wyglądają.

Tu cesarz wskazał wlokących się powoli maruderów.

— Ale jeżeli nieprzyjaciel może przekroczy Ren, naród francuski, przypuszczam, podniesie się masowo, przez dwa albo trzy zwycięstwa możecie jeszcze wszystko odzyskać. Nie sądźcie, że się boję tego, że nieprzyjaciel przejdzie Ren; przeciwnie; niech go przejdzie, niech wkroczy do Francji. Chcę nawet, aby mi spalił ze dwa miasta, będę miał pięćset tysięcy ludzi więcej. Nie będę przeszkadzał wejść.

Ostatnia wojna z Rosją była o Polskę; byłem pewny, że odbuduję wasze królestwo. Austryja nawet zgodziła się na to, co więcej, zgodziła się ustąpić Galicję. Czytajcie „Monitora“, znajdziecie tam traktat, gdzie przyrzekła mi oddać Galicję. Ale ta nieszczęśliwa kampanja! Popelnilem tam błędy. Kto ich nie popełnia? Książę Schwarzenberg zdradził. Może i niestałość po-

wodzenia. Fortuna jest zmienna. Panowie wiecie, że jest kobieta. A może być także, panowie, że wasza nieszczęśliwa gwiazda pociągnęła za sobą moją. A wasza konfederacja, cóż uczyniła? Nic. Rozumiałem pod słowem konfederacja masowy ruch.

Gdy cesarz przerwał, odezwał się podpułkownik Skrzynecki:

— Najjaśniejszy panie, nigdy nam nie pozwolono rozwinąć energii narodowej.

Ale Napoleon, jakby nie słyszał, mówił dalej: — Trzeba się było podnieść masowo.

Koniec końcem, panowie Polacy, należy iść ze mną, należy iść do Francji. Nie przypuszczajcie, że wszystko jest stracone. Uważacie, że już tak źle jest ze mną? Nie wierzycie, że mimo wszystko jestem jeszcze najpotężniejszym? Pokój, być może, zostanie zawarty tej zimy. To jest bardzo możliwe. Trzeba iść do Francji, panowie Polacy. Jestem jedynym człowiekiem, na którego możecie liczyć.

Krzyknęto „Vive l'Empereur!“ — krzyknął tłum. Cesarz zdjął kapelusz. Odpowiedziano gromkim wiwatem.

— Vive l'Empereur, notre unique espérance, notre unique providence! — huczało kołem.

Cesarz pozdrowił, odwrócił się, wsiadł do karety i odjechał.

Z rozpaczą w sercu słuchał go Zaremba. Nigdy nie wydał mu się tak słabym, tak pozbawionym aureoli, tak pozbawionym energii. Nawet gdy w Moskwie czekał trzy tygodnie na odpowiedź cara Aleksandra, ten

olbrzym nie miał głowy tak nisko. Ta masa słów, te powtarzania, te zastrzeżenia, ta nuda, ta ostrożność. Aby nie rzeczywiście nie zapowiedzieć, nikomu się nie narazić, a przedewszystkiem carowi, ta oględność, aby mu nie wypomnieć nie można było, dawały świadectwo upadkowi, niewierze w siebie, brakowi odwagi i przekonania o sobie. Gadał długo i nie powiedział nic.

Piękne, szlachetne, rycerskie uczucie malowało się na twarzach otaczających go oficerów. Z niesłychaną szewalerją oddawali mu swój oręż, gdy odezwał się do nich — pobity.

Zaremba ciekawy był, jak wiadomość, że idą z Francuzami za Ren, zostanie przez żołnierzy przyjęta.

Na pierwszym popasie ruszył ku obozowisku. Natrafił na grenadjerów. Siedzieli koło kotłów na ziemi i czekali na warzące się jadlo.

Zaremba popatrzył na jednego z nich, starego wąsala, który nieco na boku ległszy, rękę sobie krwawą chustą przewiązywał. Wpatrzył się weń i zapytał:

— Kossakowski?

Wąsal przypatrzył się jemu z kolei i odpowiedział:

— Do usług pana rotmistrza.

— Gdzie to? Pod Lipskiem?

— At świnia mnie jedna bagnetem drasła.

— Nic wielkiego?

— E nic. Przebił mi dłoń, ale tak zgrabnie, że wszystkimi palcami ruszam i strzelać mogę. Musiał być Czech, nie chciał, żebym przestał grać na klawikordzie.

— Dużo Kossakowski ma ran?

Grenadjer zastanowił się.

— Albo jedenaście, albo dwanaście.

I z dumą spojrział na krzyż na mundurze.

— Ale za pozwoleniem, skąd mam zaszczyt być znany panu rotmistrzowi?

— Kolego — odpowiedział Zaremba, — czy to nie razem pod bagnetami francuskimi maszerowaliśmy pod Lodi? Czterech grenadjerów i dwóch ułanów austriackich, zanim nas wkupę razem z innymi jeńcami nie zbito?

— A rychtyk! Ale pan rotmistrz był wtedy młodszym podoficerem!

— No, i wy, kochanie, byliście o tyleż samo lat młodszy.

Grenadjer roześmiał się.

— Bez urazy pana rotmistrza. Słusznie. Teraz sobie też przypominam. Obskoczyły nas psie kości Francuzy i hajda z nami! Myśmy się w paru bronili koło jakiejś kapliczki Bonapartemu, a pan rotmistrz z drugim podoficerem wpadli w łapy francuskie. Pamiętam — oba konie padły od kul, jak jeden.

— Byliśmy z rozkazami posłani. Ten drugi, nazywał się Giecowicz, zginął potem pod Ulm.

— Nie żartował Bonaparte we Włoszech. Żeby tak był pod Lipskiem potrafił... Mało nas było. Ale to się jeszcze, Pan Bóg pozwoli, odpiecze.

— Kossakowski nie opuściłby cesarza Napoleona? Grenadjer spojrział z niewysłowionem zgorzeniem.

— Ja?!

— No — mówił umyślnie Zaremba — ojczyzna daleko, coraz to dalej — — —

— A, panie rotmistrzu — przerwał mu grenadjer — jestem Polak, kocham ojczyznę, jak mi Bóg miły, ale bez cesarza — — — czyż możnaby żyć?

— Jednak inni go opuścili, nasi też dezertują kupami.

— Zdrajcy!

— Tfy!

— Księżę Sułkowski chciał nas tylko do Renu doprowadzić i wrócić —

— Księżę Sułkowski powinien dostać kulą w łeb, za pozwoleniem pana rotmistrza.

— Nawet bez mego pozwolenia — odpowiedział Zaremba, roześmiawszy się.

— Pan rotmistrz także by cesarza nie odstąpił?

— Dla ojczyzny.

— Dla ojczyzny? Prawda... Panie rotmistrzu, ja się wstydzę przyznać — — — jak Boga kocham, mnie się już ojczyzna widzi tak daleko, a tornister, karabin i cesarz to tu, przy mnie...

— Zawsze ojczyzna najdroższa.

— Najświętsza. Ale ja już powiem szczerze: najdroższy mi gwer i cesarz. Trzydzieści lat gwer noszę, od kiedy mię z szewskiego domku moich rodziców w Lipnicy w rekruty wzięli. Od Lodi pod cesarzem służę.

— Tak i ja.

— Cóż ja w ojczyźnie byłem? Austriaki wzięli mnie

Waterloo



do Pragi, potem do Włoch, stamtąd potem kwaterowaliśmy znowu we Francji, przeszedłem Alpy, odbyłem Marengo, potem byłem nad morzem, kiedy się cesarz na Anglię gotował, znowu byłem w Austrii, w Prusiech, w Hiszpanji, znowu we Francji, znowu w Austrii, w Moskwie, — myśmy, panie rotmistrzu, z Bonapartem obaj razem rośli!

I spojrzął na swój krzyż na mundurze.

Potem rzekł:

— Sam mi go pod Ratysboną przypiął.

— Kossakowski kocha cesarza?

— Jak duszę własną! E, więcej! Cóż tam moja dusza! Żeby całą wieczność w niebie była, to jeszcze tyle chwały, co jej Napoleon za niecałe dwadzieścia lat na ziemi nabył, nie nabędzie! A żeby do piekła dla niego poszła — wart tego, słowo żołnierskie!

— Pójdziemy się z nim dalej bić.

— Pójdziemy! Albo my, albo oni! Ja już od niego nie odejdę. Chyba tam — wskazał palcem w ziemię. — A jak znowu zwycięży, to jeszcze stamtąd krzyczeć będę z drugimi: vive l'Empereur!... Ojczyzna — — tak ją widzę, jak przez mgłę. A cesarza jak słońce na niebie. Nam się, panie rotmistrzu, jak mi Bóg miły, nieraz zdawało, kiedy przed front wyjechał na przegładzie, że mu koło głowy glorja jak świętemu błyska. No i nie on nie mniej. Będzie patronem żołnierzy. Kogo Pan Bóg takim stworzył, to nie na to, żeby go po śmierci pierwszy z brzoza djabeł kopytem, albo chwostem trzącał.

Zaremba wyjął z kieszeni dukata i wręczył go grenadjerowi.

— Kossakowski, za zdrowie i fortunę cesarza.

Grenadjer powstał z ziemi, wyjął z kieszeni woreczek, pogrzebał w nim, wydobył franka, wyprostował się i ze zranioną dłonią przy kaszkiecie podał srebrny pieniążek Zarembie, mówiąc:

— Panie rotmistrzu, melduję pokornie, proszę o to samo.

Zaremba wziął franka, schował, położył rękę na ramieniu grenadjera i rzekł cicho:

— Niech żyje cesarz i Polska!

— Niech żyją! — powtórzył grenadjer z ogniem w twarzy.

* * *

Napoleon wyjechał do Erfurtu. Nielitościwa, smagająca go w ten, czy ów sposób, niemal całe życie, ironja losu, kazała mu znów z kolei po Dreźnie „wjechać“ do Erfurtu. Nie było tam już „zjazdu królów“ z uniożnemi pokłonami, nie było „ścisku królów“ w przedpokojach, żaden król, ani cesarz nie szeptał z bijącym sercem i emocją trwożną „c'est lui“, natomiast nadeszła wiadomość, iż były aljant, król bawarski, wysłał generała Wrede z osmdziesięciu tysiącami, aby armji francuskiej zamknąć drogę odwrotu do Francji. W tych osmdziesięciu tysiącach było osmnaście tysięcy Austrjaków pod księciem Reuss, których współdziałanie z armją bawarską miało nietylko na celu odcięcie od-

wrotu Francuzom, ale także zatwierdzenie bezwarunkowej zgody Austrii na tytuł królewski, który Napoleon elektorowi bawarskiemu nadał.

Szwolężerowie polscy otwierali drogę Napoleonomi do Paryża.

Wściekłym atakiem wiódł ich Aleksander Fredro na kirasjerów bawarskich.

Walczący Polacy czuli zmianę w sercach swoich. Nie patrzył na nich surowy orli wzrok uwielbianego, zwycięstwa wywalczającego wodza — ale potrzebował ich Napoleon, liczył na nich... że go opuścić chcieli — pragnęli mu to nagrodzić. Szalone ich ataki ryły brózdę w szeregach nieprzyjacielskich. Z niemiejszą furją walczyli Francuzi. Mścili się za Lipsk, za pogrom, zwycięski ostatni okrzyk rzucić pragnęli nienawistnym krajom, nim je opuszczą.

Napoleon miał tę satysfakcję, że mógł z szyderstwem patrzeć na niedołężne dowództwo swego dawnego podkomendnego von Wrede. — Mogłem Wredego zrobić hrabią, ale nie potrafiłem zrobić go dobrym generałem — żartował. I przez trupy ruszył za Ren, który tylekroć za jego panowania był dla Europy rzymskim Rubikonem Cezara.

Widział w Moguncji pułki swoje i poznawał je po kolei. Niosły te same znaki, które wносиły do stolicy Europy...

Piątego listopada 1813 roku ostatni żołnierz Napoleoński przekroczył Ren.

Epopoea Napoleońska była skończona, ale nie skończyła się epopea Napoleona...

Z tą myślą, usiłującą wyczuć przyszłość, rozedrzed zasłone jutra, rozświecić ciemny horyzont, wracał cesarz do Paryża.

Wracał tam po raz wtóry pobity.

A za nim Metternich, Nesselrode i lord Aberdeen rzucali „Notę Frankfurcką z 9-go listopada“, „aby Francja zamykała się w granicach naturalnych Renu, Alp i Pirenei“. Wiódł ją do Paryża ambasador francuski w Weimarze baron de Saint-Aignan, uchwałę „Kongresu królów“, zupełnie w myśl niejednokrotnie wyrażaną przez Napoleona, że kongres królów powinien rozstrzygać sprawy Europy. On miał być tego kongresu pierwszym prezydentem... Uważał przecież wszystkie sprawy Europy za „sprawy domowe“ domu, którego on do końca życia miał być panem... On pierwszy padał tego kongresu ofiarą...

Z Frankfurtu 1-go grudnia 1813-go roku, w myśl idei Napoleona, „rozstrzygający sprawy Europy kongres królów Europy“ ogłosił:

„Sprzymierzone mocarstwa nie walczą z Francją, lecz z tą przewagą wyniosłe dawaną uczuć, z tą przewagą, którą ku nieszczęściu Europy i Francji cesarz Napoleon zanadto długo uciskał kraje za granicami swego cesarstwa...

Mocarstwa chcą pokoju... warującego odtąd ludy od klęsk bez końca, które od lat dwudziestu ciążyły na Europie...

Mocarstwa sprzymierzone nie złożą broni... dopóki zasady niewzruszalne nie odzyskają praw swych nad

próżnemi pretensjami, dopóki świętość traktatów nie zapewni nareszcie rzeczywistego pokoju Europie“.

Napoleon podjął wyzwanie i zażądał 460.000 ludzi od Francji...

* * *

Wielki cesarz, czuł ogrom swojej samotności. Potężna jego głowa wydawała mu się podobną do samotnej na wyżynie kopuły bazyliki Świętego Piotra w stolicy świata. Wisiał poprostu w przestworzu, jak obłok, który rozedrzcę się ma o zębate, potężne skały.

Świat powstał przeciw niemu. Rozpoczyna się walka o śmierć i życie. Nigdy jeszcze jeden człowiek nie miał tylu wrogów. Gdy był wszechwładnym, gdy pannał, narody, które go słuchały, państwa, które druzgotał, przestrzenie, które ogarniał — wszystko to nie wydawało mu się tak wielkie, tak kolosalne, jak falangi obecnie przeciw niemu spiętrzone. Nie miał wojska. Z kampanji saskiej wyprowadził 50.000 żołnierzy, 100.000 broniło linii Pirenejów, 40.000 biło się we Włoszech pod Eugenjuszem Beauharnais, 120.000 z wyborowymi oficerami, z owym Rappem, jeszcze w Rosji przeznaczonym do Gdańska, z masą armat i amunicji pozostało na łaskę i niełaskę w twierdzach, wolnych już dziś od przewagi francuskiej Niemiec.

Fortyfikacyj francuskich nie było. Któż śmiał przypuścić, aby kto śmiał najść Francję?! Twierdze broniły imperjum Napoleońskiego: w Gdańsku, w Hamburgu, Magdeburgu, w Antwerpji, Aleksandrji, Mantui.

Jeden Strassburg na linii Renu był fortecą. Moguncja, Wesel, Kehl nie mogły być brane w rachubę.

Nowy więc pobór miał zastąpić armję, która poległa, twierdze, których nie pobudowano; pobór setek tysięcy, w tem młodzieńców niepopisowych jeszcze z 1815-go roku 160.000.

Lecz co powie Francja?

Oto już Benjamin Comtant ogłosił broszurę „Duch podboju i uzurpacji“. Straszna, złowroga, obelżywa nazwa uzurpator została publicznie, głośno, wyrzeczona we Francji...

Ziemia poczyna drzeć pod nogami.

Gdy wrócił z kampanji rosyjskiej, był „niepobitym“. Pod Lipskiem — — „zwyciężył“! Tak się nazywało, tak powiedział Polakom pod Fuldą. „Cofnął się“ — sparto go za Ren...

Gdy wrócił z pod Lipska, Francja utraciła departament Lemann z Genewą miastem stołecznym, departament Rzymu z Rzymem, departament Zuidersee z Amsterdamem, departament Ujścia Elby z Hamburgiem, Włochy z Medjolanem, Królestwo Neapolu, Ilyrię, Hiszpanję, Księstwa Bergu, Hessji, Badenu, Wirtembergję, Bawarję, Westfalję, Saksonję i połowę Polski — — nieprzyjaciół zaś miała na zachodzie, u Wogezów, pod Jurą, od południa, za Pireneami.

Co powie ta Francja na nowe zaciągi? Gdy nie komendant zwycięstw, lecz traciiciel dwóch Wielkich Armij zażąda od niej nowych synów, nowej ofiary?...

Francja o polach nieuprawionych, z zamkniętymi fabrykami, z zupełnym zastojem interesów i robót pu-

blicznych, z pensjami cywilnymi ściągniętymi o czwartą część, doprowadzona u bogatych do kłopotów, u możnych do ubóstwa, u ubogich do nędzy?...

Jeden tylko dom, Mont-de-Piété, prosperował. Zastawiali wszyscy wszystko, aby żyć.

Upadłości ogłaszano masowo. Francja stała u progu ruiny. A, by dojść do tego stanu, dała 2 miliony 113 tysięcy ludzi.

Ileż dały kraje sprzymierzone z Francją, z iluż walczono ze strony przeciwnej? Kolosalna, potworna liczba miljonów — i nad tem: jeden człowiek.

Tyle ofiar, tyle krwi — by jeden człowiek balansował od zwycięstwa do klęski, on jeden sprawca, powód i twórca wojen Europy.

Nigdy podobnie krwawego zjawiska świat nie oglądał. Całe państwa starożytne nie liczyły tyle ludności, ile żołnierzy walczyło za cesarza Napoleona.

Cóż powie potomność? Rzuci piorunem potępienia na głowę? Uwielbi cię? Czy powie, że Napoleon nie mógł być innym?

Cesarz sam zadaje sobie pytanie: czy jest możliwym, aby jeden człowiek mógł sam przez się tyle milionów ludzi przesiać przez sito śmierci?

I sam sobie zadaje pytanie: czy nie mógł być innym?

I odpowiada sobie sam:

Był tylko jedną z sił kotłujących się ze sobą, którym na imię: rewolucja francuska, arystokracja francusko-angielsko-niemiecka, Bourboni, car Aleksander I, konserwatyzm, liberalizm, jakobinizm, cywilizacja, kra-

je, narody, namiętności ludzkie — nie mógł być innym. Całe życie było prostą konsekwencją, następstwem pierwszym pierwszego kroku. Tulon zrodził Bonapartego, a Tulon był takim ruchem genjuszu, jak blaskiem jest wschód słońca.

Lecz słońce wschodzi i zachodzi.

Otóż czy nie jest winą cesarza Napoleona, że zająć nie chce?

Lecz do grobu schodzą tylko monarchowie, są dożywotni — ich zachód jest śmiercią.

Tak być powinno.

Któż to śmie strącać z tronu monarchę?!

Roześmiał się prawie. On sam walił i robił królów, bawił się koronami w piłkę, na świętego gilotyną rewolucyjną króla siedział tronie — nie miał więc prawa dla monarchów. —

zatem —

zabrzmiało cesarzowi imię: Napoleon.

Jednak więc on — — jednak więc on...

Plącze się myśl cesarska. Jeżeli wzniósł się na tron świata i spaść ma z niego: byłże tylko igraszką natury? Nie byłże niczem więcej, jak kopcem piasku nawianym przez samum, który nowy samum rozniesie?

To byłoby okropne!

Grą więc tylko potęg życia byłoby jego panowanie? dynastja?

To byłoby okropne!

Lecz skąd te myśli?! Czy nie stoi jeszcze na czele wojska, czy nie jest już pierwszym wodzem świata? Czy setki tysięcy francuskich żołnierzy nie są już go-

towe krzyżeć mu: vive l'empereur? Czy Francja nie jest już jego?

Rzuca oczyma w raporty.

Wszędzie agitacja rojalistyczna. To wie: każda kampanja nowa budziła u rojalistów z Saint-Germain nadzieję klęski Francji, więc Bonapartego. Na wiadomość o każdym ostatnim zwycięstwie cesarza Napoleona, w arystokratycznej dzielnicy pito na o s t a t n i e zwycięstwo cesarza Napoleona! Hydra socjalistyczna podnosi głowę, nietylko w Marsylii, lub w Bordeaux — w samym Paryżu! Ludwik XVIII ośmiela się pisać do narodu: „Francuzi, nie oczekujcie od waszego króla żadnego wyrzutu, żadnej skargi, żadnego wspomnienia przeszłości. Chce on wam tylko przynieść pokój, tylko łaskę, tylko przebaczenie... Przyjmijcie po przyjacielsku tych szlachetnych skoalizowanych, otwórzcie im bramy waszych miast, zapobiegijcie ciosom, które zbrodniczy i bezużyteczny opór nieochoybnie sprowadziłby na was i niech ich wejście do Francji będzie powitane z radością...“

„Francuzi — wołał w proklamacji swojej książę Condé — Ludwik XII, wasz prawy monarcha, zostaje uznanym na nowo przez potęgę Europy!... Będziecie mieli pokój i przebaczenie. Niezgwałcalność własności będzie uświęconą, podatki będą zmniejszone, wasze dzieci powrócą na rolę i odesłane będą na wasze łono...“

Książęta Bourbonscy jadą do Francji. Panowie francuscy, Vitrolles, d'Escarts, Polignac jadą do sztabów generalnych koalicji zradzać środki obrony Paryża. Służą za przewodników kolumnom nieprzyjaciel-

skim. Pan de Brunel jest gotów „mourir pour les Cosaques!“

Wewnątrz Francji wszystko jest sparaliżowane przez rozdwojenie, wycieńczenie, obawę, niepewność, intrygi. Pobór zawodzi, podatki nie wpływają, niechęć do wszystkiego, co cesarskie, rozprzestrzenia się coraz szerzej. Dowcip salonów i dowcip ulicy druzgoce prestige cesarza. Na kolumnie Wielkiej Armji tłumy, śmiejąc się, czytają kartkę: „prędko, bo się wali“. Całe prowincje Francji oczekują kozaków, którzy „są źli tylko w gazetach“, a prefekt policji w Paryżu, Savary, wysła swoje córki i meble dla bezpieczeństwa do Tuluzy...

Cała Francja rewoltuje się od nędzarzy do książąt, przez całą Francję brzmi Talleyranda: „to jest początek końca“, grozi komuna i anarchja wewnętrzna, którą rodzi głód — wszystkie elementy zagłady zdają się dźwigać i sięgać głowy nowożytnego cezara — — któremu pozostał: genjusz.

Napoleon wzywa go. Wzywa go z głębin swej duszy, jak orła z chmur. Był zasnął. Znużony zwycięstwami i chwałą, zasnął kędys na niedostępnej skale. Nadlata. Cesarz oczy podnosi. Oto krąży nad jego głową. Cesarz wlepia weń oczy: siebie, żonę swoją, syna swego, swą dynastję, swój tron, swoje państwo, swą gwiazdę — wszystko jemu powierza. Czuje go. Orzeł wlatą w jego mózg, rozprzestrzenia w niej skrzydła. Napoleon wielki podnosi się. Blask niepohamowany oświetla jego myśl. Ręka jego upadła na szpadę. Napoleon Wielki wzywa świat.

* * *

Podówczas właśnie w salonie księżny Klementyny Choiseul młody markiz de Noailles, kuzyn tego, który wzięty w Rosji w niewolę przez kozaków, przepadł bez wieści, rysował karykaturę Napoleona: Bonaparte w ogromnym kapeluszu na oczach, z ogromną głową, z ogromnym brzuchem, na cienutkich nóżkach stał na balansującej na płocie desce i silił się utrzymać równowagę, pod tem zaś podpisał margrabia: „Francja to ja“. Szybko współbiegała się z nim księżna Żorżetta Rohan, rysując maleńkiego Napoleona na niesłychanie wysokim drewnianym koniu z podpisem: „Mój Boże! Stanał! Tyle lat myślałem, że był prawdziwy!“ Książę Henryk Choiseul, brat stryjeczny pana domu, produkował swój talent, kreśląc Bonapartego na arenie teatru naprzeciw dwóch sprzymierzonych cesarzy i dwóch królów z rozpaczliwym gestem i wykrzyknikiem: „Ależ moi panowie! Jak można być tak niedelikatnym względem kolegi!“ Żaden z tych rysunków i kilku innych jeszcze nie uzyskały aprobaty. Za najzjadliwszą karykaturę Bonapartego księżna Choiseul, pani domu, obiecała pani szczenie od swojej cudnej szkockiej charcicy, panu różę od swego cudnego gorsu. Żaden z dowcipów nie wzbudził zadowolenia. Wszystkich oczy zwróciły się ku panu de Cléry, synowi księcia Filipa Grammont i prześlicznej konnojeźdźczyni, kreolki z amerykańskiego cyrku, którą książę niezmiernie kochał i dla której porzucił żonę i dzieci, a która wydając na świat syna Augusta, umarła. August nosił sfrancuzione nazwisko matki, wychowany, uposażony, oraz wprowadzony w świat przez ojca, dla nadzwyczaj-

nej urody i nadzwyczajnego dowcipu był jednym z bohaterów dnia.

— Panie de Cléry, czy pan nie brał udziału w naszym konkursie — spytała księżna Choiseul.

— Owszem, ale prywatnie. Przyszedłem bowiem z gotowym już dowcipem w kieszeni, który ze swej strony przyszedł mi na myśl dziś rano.

— Nie wątpię, że będzie lepszy niż nasze! — zawołała księżna Żorżetta Rohan. — Proszę pokazać!

— Prosimy! Prosimy! — wołano dokoła.

Pan de Cléry wyjął pugilares z napierśnej kieszeni fraka, a z niego éwiartkę papieru. Towarzystwo zgrupowało się koło niego. Pierwszym, który spojrział na papier, był książę Henryk Choiseul — porwał on rysunek, podniósł do góry i, śmiejąc się na głos, wykrzyknął: — na honor świętego Dominika! — bo takie miał przysłowie. — Genjalne! Gdyby mój przyjaciel, ojciec twój, żył, młodzieńcze, byłby dumny i uściskałby cię serdecznie! To warte przegranej potyczki pana Bonaparte!

Gdy tak mówił, rysunek był już przed oczyma wszystkich. Jeden śmiech i jeden wyraz zachwytu brzmiał dookoła.

Księżna Klementyna Choiseul odpięła różę od gorsu, pocałowała ślicznymi ustami i wręczyła ją „zwycięzcy Napoleona“.

Na éwiartce papieru, nadzwyczajnego talentu rzutem, narysowany był Napoleon, a na przeciwko niego kozak, który mu podawał bilet wizytowy cara Aleksandra.

— Rewizyta, co? — wołał do starego markiza de Noailles księżę Henryk Choiseul. — Niech go kule biją! Konkurs przyniósł arcydzieło! Bonaparte pęknie, gdy się to stanie publicznie!... Sam się o to stante pede postaram. To rewizyta!

* * *

Tymczasem Bonaparte snuł swój rachunek prawdopodobieństwa.

Jakie były szanse wojenne pro i jakie były contra?

Armja jego przy największym wysiłku wobec oporności rekruta i wycieńczenia Francji nie będzie ani w przybliżeniu tak silna, jak armje koalicji, ale wodzowie koalicyjni będą musieli obsadzać zajmowane przez siebie twierdze, pilnować swojej linii komunikacyjnej za Ren, zostawać za sobą załogi, im dalej posuwać się będą. To musi uszczuplić ich siły. Nie przeważając zaś znacznie liczbą, muszą zostać pobici i przez żołnierza francuskiego i przez jego wodza i przez patryjotyzm Francji.

Francja chce pokoju, pragnie go i potrzebuje — ale dopóki on żyje, Francja to on, a on nie chce pokoju, któryby go okrył niesławą. Raczej śmierć. „Il vaut mieux mourir roi que vivre prince“. Przyszłe wieki zapytają go o chwałę — odpowiedź może być tylko jedna: chwała Bonapartego była ze wszystkich chwał ludzkich największa.

Ale Francja jest oporna — więc trzeba ją rozentuzjzmować. Niech myśli i wierzy, że wszystko za nią, dla niej, przez nią. Napolione Bounoparte, buntownik

korsykański, zdrajca munduru francuskiego dla Korsyki, niedoszły żołnierz rosyjski cara Pawła, jest pierwszym Francuzem. Nie może on ścierpieć ponizenia i ujmy godności Francji. Jest gotów walczyć za nią, dla niej i przez nią do ostatniej kropli krwi. Niech tylko Francja nie wie i nie domyśli się tego, że imię jej jest ambicja, pycha i duma Napoleona Wielkiego.

Szansę pomyslniej wojny podtrzymuje i to, że w obozie koalicji nie może być jednomyślności, jednomyślnej decyzji i zgody. Austria nie chce zbytniego uwypuklenia się potencji rosyjskiej, cesarz Franciszek nie dąży do detronizacji własnej córki i wnuka; woli także potężną Francję, niż potężne Prusy. Już to samo wnosi ferment we wspólną akcję koalicji.

Jeśli więc zdoła się przybrać maskę bohatera narodowego, jeśli porwie się za sobą Francję, uda się może nie tylko wyprzeć koalicję z granic francuskich, ale odzyskać nawet to, co się straciło i do niebywałych i nieznanych triumfów dodać triumf ostatni, nieśmiertelny, najwyższy. Będąc Aleksandrem Wielkim, Cyrusem, Hannibalem, Cezarem, Karolem Wielkim, Gustawem Adolfem i Karolem Dwunastym, należy teraz stać się Wilhelmem Trzecim Nassauskim i dokazać tego, czego on w Holandji przeciw Ludwikowi XIV-mu dokazał.

Niech kobiety i starzy zaśpiewają pieśni o narodowym bohaterze, niech cała Francja ujrzy nie sprawcę jej nieszczęść w cesarzu, ale swego Hektora, niech rzuci mu pod stopy ostatki swoich bogactw i ostatnich swych synów, niech się poleje krew i niech urośnie góra

ciał pomordowanych, lecz nie zawsze ofiarowywanego a upokarzającego pokoju ambicja, pycha i duma Bonapartego.

Zamyślił się cesarz.

Zamyślił i uśmiechnął.

Uśmiechnął się wyniosłe, lekceważąco, chytrze, a złowrogo.

Czuje on doskonale, że jest wrogiem nie tylko Austrii, Prus, Rosji i Anglii — jest także wrogiem Francji. Wrogiem tem gorszym, że wewnętrznym.

Niszczy ją i tępi.

On, który zbudował nowoczesną Francję.

Własnymi rękoma niszczy własną budowę.

On, który Francję uczynił pierwszą potęgą świata, pierwszą kartą historii ziemi.

Dziwny zbieg...

Dziwny los...

Jestże to ten sam Bonaparte, który był konsulem dożywotnim Francji? Który jej dał dwa lata niebywałego szczęścia i świetności?

Jestże to Bonaparte prawodawca, administrator, opiekun nauk, mecenas sztuk?

Dziwny, dziwny zbieg zdarzeń...

Cóż uczyniłby Rzymianin?

Czy nie ofiarowałyby swojej osoby dla pokoju ojczyzny?

Lecz są szanse walki, lecz Francja nie jest ojczyzną Bonapartych...

Jakie obowiązki ma cesarz względem Francji? Dała

mu wszystko? Nie? on sam od niej wziął wszystko, ona sama nie byłaby mu dała nic. Natomiast co on jej dał, tego ona sama ani od niego nie wzięła, ani bez niego nie posiadała.

Cała wdzięczność jest po stronie Francji — dla niego.

Teraz zaś broniąc swego honoru, broni honoru jej. Dostyc refleksyj, dostyc rozmyślań i zastanawiania się! — — Napoleon Wielki wyzywa świat!

* * *

Znów pojawił się oczom Zaremby Napoleon. Znikł w nim gdzieś dumny, wyniosły imperator, otyły, ocieźżały i niezdrowy człowiek; jakby z twarzy odmłodził się i jakby mu wróciła młodych lat elastyczność. Zar oczu stał się niemal fosforyczny. Zarembo znał tę twarz, te ruchy i ten żar fosforyczny oczu — — to generał Bonaparte...

Tak, to zwycięzca z pod Lodi, z pod Rivoli i Marengo — tak, to generał Bonaparte.

Zapanował cesarz nad wolą narodu, zgniótnął opór Ciała Prawodawczego, w którym zasiadali rojalisci, nie zawarł pokoju, którego cała Francja żądała i wystąpił do boju. Lecz nie ściągnął wczas 120.000 ludzi z niemieckich fortec, Davouta z Hamburga, Guovion Saint Cyra z Drezna, Rappa z Gdańska, generała Grandeau z Szczecina, Laplane'a z Głogowa i innych miast; nie oddał Ferdynandowi VII Bourbonowi tronu w Hiszpanji, co byłoby umożliwiło ściągnięcie stamtąd większej części sił marszałków Soult'a i Sucheta i spowodowało

wybuch Hiszpanów, rozgoryczonych do najwyższego stopnia przeciw dopuszczającym się na nich okrucieństw opiekunom Anglikom. W Paryżu nie uzbroili robotników ubóstwiających go, mimo, że tłumnie żądali broni i mimo, że arsenały miał jej pełne, gdyż wstrętem i obawą napełniał go uzbrojony tłum, wspomnienie antykrólewskiej rewolucji. Nie chciał dopuścić myśli, że jest to już ostateczność, że o wszystko idzie i za wszelką cenę. Chciał ufać jeszcze sobie i ludziom. Usiłował powstrzymać szalonego rumaka swojej inteligencji, który kopytami ciemne zasłony duszy ludzkiej dał przed jego oczyma w strzępy. Lecz dusza ta bluznęła mu w oczy jaskrawem światłem.

Murat, ów Murat, nieporównany wódz jazdy, ów syn oberżysty wyniesiony na króla, szwagier rodzony, ów król, jak mu Davout zagrzemiał w Wilnie, „nie z łaski Boga, ale z łaski Napoleona“, niepomny niczego, choć wszystko zawdzięczał, miast z szablą w ręku na czele kawalerji francuskiej w swojej koronie neapolitańskiej stanąć, zagroził porozumieniem się z Austriakami i wystąpieniem przeciw Francji. Napoleon rozkazał Eugenjuszowi Beauharnais pozostać z armją we Włoszech północnych i paraliżować Murata. Pozbawiał się przez to znacznych sił pomocniczych, lecz to nie było wszystko. Warjacki ruch ramion Murata otwierał przed nim drzwi ciemnicy, w którą nigdy jeszcze dotąd nie spojrział.

Olbrzymia kolumna jego istnienia wydawała mu się tak skupioną z ludzi, którzy ją zbudowali, że nie wydawało mu się prawdopodobnem, aby jedna cegła

mogła z tej budowy wyważyć się i wypaść. Nie dla miłości do jego osoby, nie dla wdzięczności, lub poczucia obowiązku — na taką myśl był za mądry; nie dla zysku nawet i korzyści — te poczęły się zamraczać — — ale dla tej siły dośrodkowej jego osoby, dla tej siły centralizującej, która zdawała mu się być mocna, jak cement. Mogli go przeklinać nawet, ale nie mogli się oderwać. Tymczasem oto pokazuje się, że oderwać się mogą.

Nikt nie poznał, co czuło serce cesarskie na wiadomość o zdradzie Murata, panował nad sobą. Lecz czuł, stojąc na szczycie olbrzymiej kolumny, że wszystkie cegły jej niebotycznej budowy zdrządy i drżą.

Wszystko więc jest złudzeniem, nawet ta siła, która zdawała się spajać go z tymi, co z nim współrosli w nierozzerwalną jedną całość?! Dusza ludzka była więc tak słabą, tak niską, tak brzydką?! Lub też dusza ludzka była taką, jaką jest, lecz on nie był tym, którym się przez lat dziesiątki być mniemał, a grawitujące ku jego słońcu planety nie były wkoło zaczarowane, zakłęte?!

Grawitowanie planet zależnem przecież jest od stopnia magnetyzmu słońca.

Otóż to, nad czem się zbyt mało zastanawiał w życiu.

Uniesiony powodzią czynów, płynął przed się, przekonany ślepo, że w jego rękach żagle się zerwać, wiosła pęknąć nie mogą. Aż oto gdy w skrotny wir się dostał, jedno z wiosel pękło... Jakaż jest cała łódź?! Czy deski dość dobrze są spojone, czy dość szczelnie smolą

zalane, czy żadna lina żaglowa nie przetłala, maszt się nie chwieje, rei nie nadwyrężyły wichry? Ale na badanie łodzi było za późno. Pozostawało mu jedno: jak ciężar ołowiu roztopionego zlać na ludzi potęgę swego genjuszu, swojej woli, swojej energii — zlutować ich przemocą, stłoczyć pod kloszem kruszcu swojej istoty, zaślepić, zagłuszyć i panować nad nimi choćby gwałtem. Jeśli się to nie uda — — biada, „biada Cezarowi i jego fortunie!“

Trzeba było wydobyć tak szalony pęd z koni, aby jeźdźcy oszołomieli i od wiatru bijącego w skronie szalonymi się stali. Mimo wszystkich rozumowań i kombinacyj matematycznych, szaleństwem jest ta wojna. Niechże niem będzie, bo tylko szaleństwo może jej dać zwycięstwo!...

Odrzucił pokój, który mu sprzymierzeni ofiarowali, dając mu granice obszerniejsze, niż je marzył król pośród królów, dumny Ludwik XIV, od Pirenei i Alp po Ren, morze i Niceę. Odrzucił.

W długich godzinach nocnych rozmów z samym sobą w obozie odpowiadał sam sobie: na co mógł liczyć? Na gwiazdę swoją i czas, który na wojnie częstokroć się staje sprzymierzeńcem słabszego przeciwnika. Ale wolał wyzwąć los, niż własnoręcznie wyrąbać szczyby w łuku triumfalnym swojej chwały. Albowiem „raczej umrzeć królem, niż żyć księciem“ — raczej runąć pod ruiną łuku.

Imiona Cyrusa, Aleksandra Wielkiego, Mahometa, imiona Karola Wielkiego, Henryka IV-go, Ludwika XIV-go leżały na dnie jego zamkniętej duszy. Wie-

dział, że go porównywać z nimi będą i nie chciał być mniejszy — — chciał być większy...

Wzrok jego biegł w przyszłość i tracił z kręgu widzenia teraźniejszość. Był częścią historii świata. Żył dla chwały i nieśmiertelności. Tęcza przyszłych wieków olśniewała jego źrenice, zaćmiewając mu świat, który go otaczał.

Ale gdzie szukać sił należało?

Jedno tylko mogło być dlań tem, czem była ziemia dla Anteusza w walce z Herkulesem: zespolenie się z Francją.

Ze sztuką nieporównaną, świadomą sobie największego aktora historii, człowiek, który potrafił tworzyć życie i grać je, interes swojej siły, pychy, ambicji, egoizmu, władztwa i sławy nazwał interesem Francji. Miał się stać Francją, Francja miała się stać nim. Kto był przeciw niemu, miał być przeciw Francji; kto był z nim, miał być z Francją. Z całą wagą glorii, którą mu dało kilkanaście lat zwycięstw, spadł na kraj, aby glorię jego i swoją zlać i skuć w jedno. To: by uzyskać siłę do boju.

A inteligencja jego wojenno-polityczna odkrywała mu widoki w tem, że był sam, jako wódz, przeciw trzem armjom i trzem wodzom, którzy rywalizowali ze sobą, zazdrościli sobie, z których każdy miał swoje interesy osobiste, sprzeczne z interesami drugiego, każdy drugiemu nie ufał i do pewnego stopnia, mniej lub więcej się go obawiał.

Czuł też, że genjusz wojny, że genjusz kampanij włoskich, genjusz młodości odżywa w nim. Moc jakaś

świeża przeniknęła jego duszę i ciało. Rzucić rękawicę przeznaczonemu, to było jego godnem i śmiało to uczynić.

Długo krążył w noc z 24-go na 25-go stycznia po komnatach i korytarzach otaczających pokój, w którym spał pod opieką pani Montesquieu mały król Rzymu, Napoleon II. Naokoło wrzała już wojna, wojna na ziemi francuskiej. Powierzył go gwardji narodowej, w ręce dziewięciuset zgromadzonych w Tuilerjach oficerów, ustanowił regencję Marji Ludwiki, o świecie miał wyruszyć z Paryża naprawiać błędy cofających się swoich generałów, rzucić na szalę wszystko. Długo krążył naokoło pokoju syna i wejść tam nie śmiał.

Dziecko to nie prosiło go o życie, ani o dary, jakie mu ofiarował. Dziecko to nie miało się urodzić. Aby przyszło na świat, zerwał węzły święte, podeptał miłość. Wyrwał je, zmusił dać je przeznaczenie. Istnienie tego dziecka w głównej mierze stało się powodem jego pierwszej w życiu klęski, odrazu pogromu. Jakże to?! Sam niedawno w Dreźnie wołał: zrobiłem głupstwo zeniąc się z arcyksiężniczką austriacką, zgubiłem się przez to małżeństwo — a to przecie był tej arcyksiężniczki syn, tego małżeństwa następstwo.

Potępiął je więc, to dziecko?

Nie mógł go przecie oderwać, odciać od przyczyny, której stało się skutkiem. Wszystkiem więc w świecie żywym jest dlań to, co powstało z jego zguby, „z największego głupstwa jego życia?”

Cokolwiek w takim życiu, jak jego, było głupstwem, było klęską; fałszywy ruch łodzi uderza ją, fałszywy ruch okrętu rozbija go o skały. Gdy więc bło-

gosławić trzeba temu dziecku, kląć trzeba życia jego powód?

Błędne koło. Błędne koło, jak tyle w tym „życowie zwycięstw i chwały“, w tym żywocie „przemocy i wszechwładzy“, „nadludzkiego geniuszu“.

Krążył koło komnaty sypialnej syna i nie decydował się wejść. Cóż oto skupia się nad tą kołyską? Ojciec, który kląć może chwilę małżeństwa z matką, dziecko, które może zawołać do ojca: ważysz na zgubę dla swojej przyszłości moją przyszłość...

Dla myśli o nieśmiertelności: dołą.

Bo jeśli kampanja Francji zostanie przegrana — — Napoleon I umrze królem, ale czy królem będzie Napoleon II?

Wnuk adwokata z Ajacio czy musiał być królem Rzymu w kolebce, cesarzem Francji?

Pierwsze dziecko świata — — lecz jakoby na szczycie kopuły Świętego Piotra stoi jego kołyska. Wichry i pioruny wiszą ponad nią. Z kołyski, która przechyla się na podłogę, wypada dziecko i z płaczem wraca do niej; kołyska, która spada ze szczytu Świętego Piotra, druzgoce się na proch, a dziecko zabija się na bruku.

Uczynił kilka kroków, odgiął gwałtownie kotarę.

Dziecko spało. Blade światło nocnej świecy oświetlało mu twarz.

Cesarz patrzył i głowa pochyliła mu się ku piersi.

Jakieś uczucie winy ogarnęło mu duszę. Jakże to? Wobec dziecka, które uczynił pierwszym dzieckiem świata, czuje się winnym on, ojciec?

A jednak, gdyby spało w zwykłym, drewnianem,

ubogiem łóźeczku, czyż trzech monarchów wyciągałoby przeciw niemu krwawe szpady?

Zanadto kusilem los — pomyślał, — za wiele chciałem, za wielom zdobył... Fortuna jest zazdrosna i mściwa.

Rzucił synowi pocałunek od ust i zapuścił kotarę u drzwi; jeszcze się zawahał, jeszcze spojrział i chciał już odejść.

Zegar gdzieś opodał uderzył dwunastą.

O tej godzinie nikną duchy — szepnął cesarz i uśmiechnął się. Zabobon jakiś zatrzymał go, lecz odegnał to głupstwo z myśli, opuścił kotarę i oddalił się do swego apartamentu, skąd o czwartej rano wyruszył na teren wojny.

Wichrami przelatywały myśli przez głowę Napoleona. Pomysły i plany wirowały w niej, jak kłęby wody na młyńskim kole. Teraz ważył się jego los. W trzydzieści tysięcy rozbijał stutysięczne armje sprzymierzonych, rzucając się przed Paryżem od zachodu na wschód i od południa na północ, jak jastrząb broniący gniazda przed chmurą wron. Gdzie uderzył, zadawał klęskę. Lecz marszałkowie Francji, jak przed Lipskiem, przegrywali bitwy, tracili pozycje, nie rozumieli intencji wodza, i nie umieli ich spełnić, lub spełniali miękko. Czuł cesarz naokoło siebie i zapał i uwielbienie żołnierzy i oficerów, lecz w granicach swojej armji czuł niechęć i niezadowolenie — — więcej: czuł zwątpienie i nieufność. Za nim była klęska rosyjska, klęska saska — — przeciw niemu Europa i całe warstwy Francji.

Łuk myśli cesarza napiął się do niebывałych granic. Od chwili, gdy w zewnętrznym spokoju ukrywał trwogę pod Marengo, nawet podczas całej kampanji w Rosji, gdy zdawał się ginąć wraz z armją, nie doznawał podobnego naprężenia swojej wewnętrznej istoty. Z Rosji wracał do Paryża, liczył się tylko z wrazeniem klęski; z pod Lipska wracał do Paryża, liczył się tylko z ruiną armji — teraz ważyły się losy jego tronu i panowania. Nie przyjął proponowanego pokoju, nie przyjął mimo zrzeczenia się Metternicha przed Calaincourtem, że jeżeli pokoju nie przyjmie, mimo zwycięstw „runie, choćby świat miał być poruszony z posad“. Rzucano przekleństwa na jego głowę za ten opór przeciw pokojowi, pierś całej Francji podnosiła się przeciw niemu wyrzutem, skargą, oburzeniem, on jednak wiedział, że zawarciem pokoju ułame rękojęść u swego berła i podetnie stopnie swego tronu, jak ostrem żelazem.

Cheiał waleczyć. Wrośnięty w siodło, blade i z zaciśniętymi usty, „wzywał los i przeznaczenie“, budząc podziw, wywołując okrzyki zgrozy i przerażenia, wyznania strachu, jak przed wilkiem w lesie pośród drwali, uginał dumę następcy swego w potencji świata, cara Aleksandra. Monarchowie wymykali mu się z rąk w lęku, jak napadnięte znienna lisy przez ogara w gaju, korpusy całe wywracał i pędził przed sobą, jak biczem, odżył w nim Bonaparte z pod Arcole, Rivoli i Lodi, lecz przemoc była zbyt wielka i genjusz jego stawał się podobnym do steru łodzi podczas fal zdolnych całą flotę zatopić. W tragicznym momencie

napięcia całej energii swego życia powziął plan przecięcia sprzymierzonym linii komunikacyjnej, zajęcia im tyłów, postawienia ich między Paryżem, którego bronić miał Józef Bonaparte, i sobą.

Nieemożliwym jest, aby Schwarzenberg i Blücher posuwali się na Paryż, mając nieprzyjaciela za plecami; nie ośmieliła się, nie zdobędą się na tego rodzaju zuchwałość. Cofnąć się będą musieli za Ren, opuszczają Francję. Tak olbrzymie powodzenie, takie zwycięstwo, taki lwi manewr, odda mu znów całą Francję, zdumi świat, rozelśni jego gwiazdę, Francja porwana na nowo rzuci mu wszystko, co ma, przed tron i znów na czele złotych orłów po raz szósty przekroczy Ren i pójdzie na czele nowej wielkiej armii zwyciężyć, na nowo zdobywać chwałę i potęgę, którą zdobył pod Alpami. Wówczas skończą się tajemne z przyslanianymi ustami narzekania, dlaczego wojska cesarskie usiłują otrzymać Medjolan i Barcelonę, kiedy Paryż jest zagrożony? Ostre, choć szeptane uwagi, czy rok 1812 nie był nauką dla 1813-go, a 1813 nie będzie nauką dla 1814-go?... Zorza rozplomieniała mózg cesarza, czuł się natchniony, marzenie jego uniosło go, jak rumak stepowy unosi folgującego mu w cuglach i bodącego go ostrogami jeźdźca, rachunek możliwości i prawdopodobieństwa rozwinął skrzydła, a liryczna chęć wywnętrzenia się wespół z chęcią podniesienia ducha w zagrożonym Paryżu, kazały mu chwycić pióro w rękę i przesać do cesarzowej Marji Luizy wiadomość o zamiarze strategicznym odcięcia koalicji od Renu, powziętym 23-go marca w Saint Disier.

Dziesięć bitew, dwa miesiące wojny, wszystko byłoby stracone dla sprzymierzonych! Odwrót ich musiałby się stać klęską! Francja porwana na nogi: to magazyny zrabowane, kolumny dowozowe zniszczone, furgony sprowadzane, wojska koalicji ścigane przez armję cesarską i napadane przez chłopów, demoralizacja, upadek, przerażenie i dezorganizacja, pogrom!

Depesza miała wstrząsnąć Paryżem. Lecz kurjer został przychwycony w drodze przez kozaków i dostała się w ręce sprzymierzonych równocześnie z listem ministra policji z Paryża Savary'ego, donoszącego cesarzowi o wrzeniu przeciw wojnie i jego osobie. Car Aleksander wahał się w Sommapuis. Hrabia d'Artois, Bourbon, przekradł się do Francji. Talleyrand, Pradt i legitymiści rozciągali sieci bourbońskie. W wydrażonej lasce emisariusz księcia Dalberg, „pierwszego szlachcica cesarstwa“, zaniósł od cara słowa: „Możecie wszystko, a nie odważacie się na nic! Ośmielcie się!“ Twierdził i zapewniał, że Paryż znudzony wojną i Napoleonem czeka. Car Aleksander, który już myślał o cofnięciu się za Ren, zażądał od generalissimusa Schwarzenberga bezwzględno marszu na Paryż.

* * *

Zaremba stał oparty o balustradę kamienną nad stawem w parku w Fontainebleau. Patrzył, ale nie widział. Przeżył on rzeczy straszne i niepodobne do uwierzenia. Sam siebie zapytywał, czy to prawda i czy to wszystko stało się, mogło się stać rzeczywiście? Czy naprawdę mógł Marmont odstąpić cesarza, zdradzić go, wejść

w porozumienie z koalicją, sparaliżować wółę i wierność powierzonej sobie przez cesarza armji i wydać Paryż skoalizowanym? Czy naprawdę mogło nastąpić coś podobnego w armji Napoleona? Czy naprawdę Napoleon nie może wjechać do Paryża? I to wszystko w kilku dniach!... Zarembie myśl gmatwała się w głowie. Ani chciał, ani mógł uwierzyć, a jednak to się stało, to się działo rzeczywiście...

W tej chwili spostrzegł jednego z adjutantów, pędzącego galopem przez ulicę. —

— Adjutancie! — zawołał. — Co słyhać?

— Żądają abdykacji! — krzyknął tenże z konia. Zaćmiło się w oczach Zaremby.

Noc była głucha. Bonaparte wstał z fotelu, na którym siedział samotnie, i przybliżył się ku oknu.

Była to cicha, ciemna noc, kiedy jako konsul stał przy tem samem oknie, pieszcząc piękną i okazałą aktorkę, czarnowłosą mademoiselle George, od której odpalił adoratora, księcia Sapiechę. Jakże był wówczas młodym, ileż było przed nim nadziei! Jak był kochanym, uwielbianym! Był bożyszczem Francji... Kiedy wyszedł na drabinkę na kółkach w bibliotece podręcznej, aby zdjąć jakąś książkę, młoda i silna dziewczyna poczęła go z drabinką suwać po posadzce, śmiejąc się i przekomarzając... Słyszy jej głos pełny, altowy, kiedy naśladuje Talmę w czwartym akcie „Cynny“: „Eh quoi, toujours du sang et toujours des supplices!...“

Zacisnął oczy pięściami.

Rachunek prawdopodobieństwa przeciw możliwości

zawiódł go. Genjusz załamał się. Obliczenia okazały się błędne. Manewr pod Saint-Disier stał się nieszczęściem, gorzej, okazał się głupstwem. Mógł o cztery marsze uprzędzić dojsie sprzymierzonych do Paryża i bronić Paryża w sto tysięcy przeciw stu pięćdziesięciu, to znaczy obronić go. Cofnął się umyślnie i dał im trzy marsze przed sobą.

Po raz niewiadomo już który od czasu rozpoczęcia kampanji 1812-go roku przekonywa się, że nie staje się to, co mu się wydawało prawdopodobnem, ale to, co było możliwem, a w czego prawdopodobieństwo nie chciał uwierzyć. Możliwość, aby Schwarzenberg wtedy, kiedy on dąży zająć mu tyły i przeciąć komunikację, zlekceważył go i, pozostawiając go za sobą, posunął się na Paryż, która zdawała mu się wykluczoną, właśnie stała się. On, który zdumiał świat odrazu i zawsze zdumiewał zuchwalstwem i niespodzianością manewrów, urągających wszelkim skostniałym zasadom Fryderyka Wielkiego i innych wodzów przed nim, zaplątał się i uwikłał w szablone — Schwarzenberg, tchórzliwy i ostrożny Schwarzenberg, wykonał zuchwały i niespodziany ruch, urągający zasadom Bonapartowskiemu... I to jest koroną całej nad ludzkim genjuszem wiedzonej kampanji Francji, tej obrony podobnej do obrony Termopil?!...

Pomyłka, błąd, który kosztuje tron...

I co za dziwny zbieg cyfr.

Potrzeba było sześciu godzin zrana, aby zaczekać na moment rozpoczęcia bitwy pod Austerlitz, tej bitwy, która utrwaliła cesarstwo Bonapartych; potrzeba było

sześciu godzin czasu, aby dopędzić w karecie pocztowej do Paryża, skoro spostrzegł fatalność manewru Saint-Disier i uprzedzić cara Aleksandra — i tych właśnie sześciu godzin brakło, o te sześć godzin się spóźnił...

Nie było w armji francuskiej jednego marszałka, jednego generała, któryby manewrowi Saint-Disier nie był przeciwny — — to więc jest racja i wyższość genjusza?!

A Murat, przeklęty Murat, który na czele konnicy szaleństwem swoim tylekroć razy decydował o wygranej i triumfie jego genialnych planów i pomysłów, teraz ze swego Neapolu zrywa się wojną przeciw niemu i uwięża 60.000 Eugenjusza Beauharnais we Włoszech — ten sam Murat, ten sam miecz zwycięski w Napoleonieńskiej ręce...

Niebo i piekło sprzysięgło się przeciw!

Kiedy sprzymierzeni wołają o nim w zwątpieniu i trwodze: „ten straszny człowiek, jak głowa Meduzy, paraliżuje samym swym widokiem! Widzimy go ze wszystkich stron, spodziewamy się go zewsząd! Zaledwie zdążymy pomyśleć jakiś plan, on go rozbija!“ — generałowie jego ponoszą klęski, cesarze przeciwni wymykają się z rąk, wodzowie poprostu z pod kopyt koni francuskich — — i znów hydra stugłowa, wybuchnąwszy krwią z szyi odciętej, nową głowę wypuszcza — i tak ciągle i ciągle!

Ile razy, jak Dawid, wymierza procę w czoło Goljata, ile razy kamień dolata z nieporównaną mocą i kość ma prysnąć: tyle razy czarny kruk przesywa powietrze i kamień śmiertelny do stóp wroga strąca...

I znów walka i walka, wysiłki i promienie genjuszu rozbite przez cudzą głupotę, przemoc, lub przypadek...

Taką była ta wojna, ta kampanja francuska...

Porwał się ruchem gwałtownym i krążyć począł po pokoju, w zamęcie myśli, w chaosie, długo, jak gdyby nieprzytomny, nim znów myśl uświadomiona wyłoniła się w mózgu.

Nazwano go wobec cara Aleksandra trupem, który tylko nie zdążył jeszcze cuchnąć.

Posąg jego usiłowano ściągnąć z kolumny Vendôme.

Przyjaciele i towarzysze zdradzają, ci, ci, co jak Murat budowali cesarstwo...

Marszałek Marmont oddaje Paryż, odwodzi mu potem całą armję żołnierzy, spieszących pod jego rozkaz, aby walczyć dalej...

Marszałkowie Ney, Oudinot, Macdonald, Lefebvre przymuszają go w najzuchwalszy, nabrutalniejszy sposób do napisania aktu abdykacji. Trucizna nawet zawodzi. Ośmieszają go tylko. Któż truże się i nie umiera? Natychmiast po abdykacji z największego tronu świata wymioty w łóżku... O Napoleonie Bonaparte! O Bonaparte!

Od wzniosłości do śmieszności niema nawet jednego kroku! Nawet jednego kroku!...

Cóż to była za scena okropna, bezprzykładna w historii świata! Bo tu wszystko jest historją, każdy gest, każde słowo! Świat nie znał równej historii i największe wojny, najstraszniejsze katastrofy nie zaćmią jej! To jest historia wieczna, jak ludzkość...

Cóż to była za scena okropna, bezprzykładna, ci marszałkowie Francji, ci ludzie z szarzyzny życia przez niego wydobyli, przez niego stworzeni, przy nim wzrosli, zmuszający go do ustąpienia z tronu zimno, sucho, twardo, brutalnie, zuchwale, wyzywająco, a niecierpliwie. Żądający więcej, więcej, wszystkiego! Poświęcenia wszystkiego, wyrzeczenia się wszystkiego do ostatka! I osobistego panowania i panowania syna!... Wszystko walili, rujnowali własnymi rękoma, deptali butami! Wszystko, co zbudowali razem z nim! Nie chcieli więcej wojny, jego dowództwa, jego władzy, osoby, jego potomstwa, nie, nie, coby przeszkadzało im zapomnieć o nim i używać darowanych przez niego bogactw... Ale po akcie abdykacji musiał pisać, gdyż nie im nie wystarczyło, aż wreszcie wymusili na nim to wszystko w tych paru wyrazach:

w imieniu swoim i swoich dzieci...

Dosyć mieli Bonapartego! Dosyć mieli Bonapartych! Jeszcze czuje zimny pot na czole pod presją tych ludzi...

Ha, psy!...

A jednak...

Czy nie poświęcał i nie ryzykował wszystkiego dla swojej ambicji?

I czy stłumiwszy anarchję rewolucji, nie stał się, nie był despotą?

Czy jedynie przez ambicję panowania połowie Europy nie runął pod Lipskiem, tam właśnie, w grzmot armat rzucając głośniejsze od nich pierwsze litery wyrazu:

Koniec epopei?!...

Bo mógł i powinien był tam zwyciężyć i tam się ocalić...

Założył ręce na piersiach.

Wszystko stracone.

Wszystko co można było zdobyć, będąc tylko człowiekiem.

Stracone — — lecz stracone i dla dziecka!

Czyż w zaślepieniu osobistem nie ryzykował, nie narażał spraw i praw syna?!

Cóż więcej kochał w istocie: siebie, czy dziecko?

Nie kłam, o wielki Bonaparte! Większą ofiarą jest poświęcenie siebie dla dziecka, niż poświęcenie życia za dziecko! To stać się może w sekundzie i trwać sekundę, tamto lata całe. Tu trzeba tylko uniesienia, tam zaparcia się siebie. Tu trzeba tylko miłości, tam przysłumienia swojego własnego ja.

Checiałeś mu pozostawić połowę Europy?... Nieprawda! Wiedziałeś, że nikt, prócz ciebie, nie będzie się rozciągał od Barcelony po Gdańsk, od Raguzy po Antwerpję, wiedziałeś, że nowożytnie państwo Aleksandra Wielkiego padnie z dniem jego śmierci, że pozostawisz tylko Francję i Włochy z Rzymem. I tyle pozostawić mogłeś.

Pycha twoja nienasycona, ambicja nienażarta, dumna nieuskromiona, oto co cię zgubiło, uczyniło ludzom ciężkim i nieznośnym, despotyzm twój, egoizm, bezwzględność twoja i żądanie wszystkiego sprawiły, że wszystkiego zażądano od ciebie i odebrano ci wszystko, że najbliżsi pochyliłi się, aby cię kamieniami z ziemi wypędzić z tronu, oswobodzić się od cie-

bie, umiłowany generale i konsulu, zniechędzony imperatorze!... Kłamałbyś sam sobie! Pysze swojej i żądzę władzy zaprzedałeś dziecko! Zdradziłeś je! Tyś je obrabował ze słuźniczny, z ojcowizny naleźnej? Ty sam zabrałeś mu wszystko, czy nie słuźnie wszystko zostało odebraniem tobie?!...

Ręce założone na piersiach opadły mu wdół. Gdyby był cofnął załogi z Hiszpanji i Niemiec pod Lipsk, byłby zwyciężył.

Wszystko źle zaczęło się od zbrodni: inwazji do Hiszpanji, detronizacji Bourbonów hiszpańskich, wydarzenia wolności Hiszpanom...

Twój krzyk w ostatnim rozkazie do armji, krzyk skierowany w głąbę przyszłości: „jeźli cesarz pogardzał ludźmi, jak mu to zarzucano, świat pozna dzisiaj, że wiedział, dlaczego pogardzał!“ — czy był zupełnie słuźnym? Zdradzili cię i spychają z tronu w przepaść, w niebyt ci, którzy przy tobie i z tobą wyrośli, lecz ty sam sobie, sam sobie, nie historii, co możesz powiedzieć? Czy nie deptałeś po wszystkim?!

Założył ręce wtył i chodźić począł po pokoju w ciemności. W uszach mu zaś brzmiał altowy głos mademoiselle George, naśladowający Talmę w Cynnie: „Entre en toi-même, Octave, et souffre ingrats après l'avoir été...“

Długo dzwoniły po parkiecie ostrogi cesarskie. wreszcie szlochanie wyrwało się z piersi Bonapartego. padł na fotel rysujący swój kontur w mroku nocnym, położył czoło na załamanych rękach na stole i płakał.

Gdyby to dziecko przyszło do niego, gdyby stańo

tu przy nim... Lecz ono, czepiając się poręczy schodów w Tuillerjach i krzycząc: „skoro papa na wojnie, to ja tu jestem panem!“ — opuścić było zmuszone dom ojcowski, pałac cesarski i jest może stracone na zawsze...

On nie byłby już „uzurpatorem“, on nie byłby już „Korsykaninem“, syn cesarza i arcyksiężniczki austriackiej, wnuk cesarzy rzymskich, w kolebce król Rzymu...

— Ah! Ah! — łkał Bonaparte. — W toż obrócić się miało Rivoli, Marengo, Austerlitz, Jena, Frydland, Wagram, Borodino, Drezno, w toż obrócić się miała moc, jakiej świat nie znał, chwala, jakiej nie było?!...

Ruina.

Car Aleksander ofiarował mu cesarstwo na wyspie Elbie. Będzie cesarzem Elby.

Cesarzem Elby...

Snać i granat rosyjski, czy pruski pod Arcis-sur-Aube i trucizna w Fontainebleau na tym go tronie widzieć chciały. Pojedzie na Elbę.

Haha!... Sur toute chose.

„Observe exactement la loi que je t'impose“ — mówi mademoiselle George głosem Talmy.

Takie prawo... Są prawa i dla niego — — których nie było.

Napoleon Pierwszy, cesarz Elby...

Od wzniosłości do śmieszności jeden krok tylko — eez jakąż oćhłań.

Natrętne, głupie wspomnienie pięknej mademoiselle George i jej uwielbianego Talmy...

„Prends un siège, Cinna... Prends...“

Cesarz Elby...

Napoleonie, Napoleonie Bonaparte!...

Wielki Napoleonie!...

Czy myślałeś, czy przypuszczałeś kiedy, gdy wychodziłeś jako goły, chudy poruczniczek, stypendysta królewski ze szkoły wojskowej Saint-Cyr, lub gdy jako goluteńki kapitan nastawiałeś armaty pod Tulonem, że będziesz kiedyś dożywotnim właścicielem całej wyspy, ośmiu tysięcy hektarów ziemi?

Przypomnij sobie, przypomnij sobie dobrze, nie tak to znowu strasznie dawno, w jakimś roku 1794, więc zaledwie okrągło dwadzieścia lat i parę miesięcy temu, gdy ci imci pan Clary, niejaki monsieur Clary, kupiec z Marsylji, teść pana Józefa Bonapartego, twego brata, oświadczył dosyć poprostu, że „już ma dosyć jednego Bonapartego w familji?” A wtedy, nieszczęśliwy aspirancie do ręki panny Desirée Clary, obecnej pani Bernadotte, we łzach żalonych wylewałeś swoje zapły, o generale! nie jak generał, ale jako student — — a łzy zawiedzionego uczucia kapąły w salceson, którego nota bene zawsze było za mało...

Ah, Wielki Napoleonie, wszakże o wiele mniej dawno, pędząc do Paryża po genialnym manewrze Saint-Disier, w jakiejś dominie dmuchając z wielkim marszałkiem Neyem na ogień, który się rozdmuchać nie chciał, wśród paru drewnianych stołków, politurowanego stołu i komody, rzekłeś do Neya te pamiętne słowa: „Ah, mój drogi, cóż ty myślisz o tym kominie i naszej sytuacji? Nie myślisz, że byłoby bardzo dobrze.

gdybyśmy dziś mogli być pewni, że na stare lata taki kąć znajdziemy?”

Zaiste! Ofiarowano ci całą wyspę. 8.000 hektarów! Jesteś pierwszy raz w życiu właścicielem czegoś na pr a w d ę — — — czy nie?

Nie łudź się, nie kłam sam przed sobą: nieraz wydawało mi się, że to wszystko, zaczawszy od korony, wziętej z rąk papieża w Paryżu i lombardzkiej korony żelaznej w Medjolanie, której więcej niż tysiąc lat nikt na głowę nie kładł — — wszystko to jest snem, ułudą, nie rzeczywistością... Płynąłeś jak na winie szampańskim — — aż łódź stuknęła o suchy brzeg, wina zabrakło i następcą, dziedzie Karola Wielkiego wyciął kozła, palnął łbem o kamień, nosem zarył się w piasek i — — no, jednak to wszystko nie był sen, to wszystko było jednak prawdą, skoro pan, Napoleonie Bonaparte, syn niejakiego pana Karola Bonapartego i panny Letycji Ramolino z Ajacio, będzie dożywotnim cesarzem wyspy Elby...

Jakoś Bonapartym mniej posłużyła korona królów longobardzkich, niż Karolingom, i był strach, że cudna koronacyjna szpada z dewizą: *veni, vidi, vici* — od Karola Wielkiego do Juljusza Cezara — mogłaby się kiedy jeszcze przydać na korsykański czosnek, koźlę źle oskubane i sałatę...

A jednak — — a jednak, o Napoleonie, jeżelibyś kiedy odpoczął, naprawdę odpoczął, i zaczął żyć życiem, jakie ci było w kołysce przeznaczone, życiem półobywatela wiejskiego, półobywatela miejskiego, to właśnie stanie się to na wyspie Elbie, z dodatkiem, że

będzie to nie 20 hektarów jałowych i domek, ale 8.000 hektarów, kopalnie i zamek, nie z „de“, ale z „l'empereur“, bez nienawiści Anglii do osadzonego przez Francję w twojej osobie „jakobinizmu na tronie“. Spokojne kurczęta, spokojne szparagi, spokojne pół butelki twe-go chambertin, pantofle, powóz i dobra służba, nie pomiędzy Ulm, Austerlitz, Frydland, Arcis-sur-Aube i jak się te setki potyczek, bitew, te zwycięstwa i klęski nazywały... Aspern, Lipsk, Montmirail...

„Ma cruauté se lassel!“

Szczególne wspomnienie tej mademoiselle George...

Nerwy uspakajają się.

Zmęczenie je uspakaja, zmęczenie ogarnia duszę i ciało...

Za wiele, za wiele nawet na jego stalowy mózg, na jego ciało ze spiżu...

Na wysiłonych powiekach Bonapartego, na samych powiekach tworzy się jakiś majak, na jawie sen...

Nazywano go także i antychrystem...

Kampanja włoska, początek, wjazd do Medjolanu, palmy, hosanna, wzgórze nad jeziorem, wjazd do Jeruzolimy...

Panowanie...

Judasz i Piotr — — zdradzili, zaparli się...

Jakby widmo Golgoty...

Kości go bołą, zda się, wszystek trąd kampanji 1812, 1813, 1814 wali się na jego członki.

Ah!... Ah!...

Wszystko obojętnieje, wszystko niknie, czeźnie.

Zdrada, opuszczenie, samotność...

Mógłby porwać, mógłby powieść za sobą wojska — oficerów, żołnierzy, młodszych generałów nawet...

Lecz byłyaby to partyzantka — —

wojna nietylko z koalicją, ale i domowa...

On i partyzantka — —

cesarz Napoleon — — i wojna domowa?...

Nie! To niemożliwe!...

Byłoby to trzasnąć w pysk całą swoją chwałę, cały swój żywot imperatorski.

Kto był Cezarem, nie może już być choćby Brutusem, cóż dopiero on, twórca porządku i wojna domowa, on, wódz wielkiej armji i partyzantka?!

Ah, zasnąć, zasnąć, zasnąć!...

Długim, smutnym pochodem powracał Zaremba do ojczyzny.

Wliczonym do pocztu oficerów polskich, którym pozwolono towarzyszyć Napoleonowi na wyspę Elbę, między nazwiska Pawła Jerzmanowskiego, Balińskiego, Fintowskiego, Kócha, Skowrońskiego, Piotrowskiego i Schultza nie został.

Nie należał on też do tych, którzy żądali ze łzami w oczach, błaganiem i klątwą na ustach, aby ich wcielono do gwardji wygnańczej cesarza, nie dezertował wraz z innymi z drogi już, aby jeszcze błagać o pozwolenie towarzyszenia cesarzowi, jak nie należał do tych, którzy buntowali się przeciw Marmontowi i wszystkim na świecie i, tumult czyniąc we Fontainebleau, krzyczeli: „Vive l'empereur!“ gdzie jest cesarz?! ukradliście cesarza! oddajcie go! chcemy go widzieć.

Długo, przez kwiecień, maj, czerwiec, aż do 17-go

lipca szła kompanja gwardji, nim do Lipska, do grobu księcia Józefa przybyła, gdzie ksiązę Repnin, gubernator skonfiskowanej przez koalicję Saksonji, oddał jej zwłoki bohatera.

A według rozkazu cesarza Aleksandra armja rosyjska zwłokom księcia Józefa Poniatowskiego oddać miała honory te same, jakie oddała zwłokom księcia Kutuzowa...

Bohater polski, Józef Poniatowski, któremu Bóg powierzył honor Polaków, zmartwychwstały po czterech wiekach Zawisza Czarny wojennego honoru Polaków, Bayard polski i sztandar dumy polskiej, zrównany został z Kutuzowem, odebrał te same honory.

Wśród nabitego tłumem kościoła świętego Krzyża w Warszawie, wśród mnóstwa rycerstwa polskiego i wojskowych rosyjskich z feldmarszałkiem Barclayem de Tolly na czele, wśród świec jarzących, wśród dywanów, kwiatów i sztandarów na katafalku, patrzył piastowski szlachcic Zaremba, budowniczy i fundator polski, na te zwłoki na katafalku w trumnie zamknięte na wieki.

Ponad nim zaś grzmiał głosem donośnym i bólu pełnym ksiądz dziekan katedry warszawskiej, Woronicz:

....,Gdzież daléj w zaplątanych bezdrożach postąpiem? Któreż już nas marzenia i nadzieie niezawiodły? ieszcze po nich przepaści z przepaściów wyzieraia — ieszcze klęski po klęskach wezbraną ryczą powodzia!...

Boże! któryś mię wśród tylu żalonych przemian tęj przechodniéy oyczyzny chciałeś mieć nieoboiętnym widzem iéy sławy, cierpień i wysiłków; wion na mnie skrępełego ozywczym duchem, abym w tych nowych rumowiskach iéy bytu, stare przymierze twoie z oycami naszymi raz ieszcze przypominał...

Iakiż mię duch nagle porywa, i nad strumień zawistnéy Elstery razem przenosi! — Ciebież tu widzę wspominany dotąd od nas Bohatyrze! Tyż więc te roiska śmierci przed tobą pierzechiające uganiaasz? Ty ieden z niezłożonym orężem przeciw połączoney Europie walczysz? iuż ten ogromny posąg, obłoków dotykaiący, opisanym w Prorokach kamykiem z nieba trącony, w proch się rozsypuie! iuż go i własne i zprzymierzone ludy odbiegaia: a ty się ieden świętością twych przysięg zasłaniaasz! iuż tylko orszak twych braci, niktńacéy potęgi ułomek zasłania: a ty iak drugi Machabeusz odpowiadasz: więc umrzyimy za Braci naszych — moriamur pro fratribus nostris! iuż sławę narodu twego wśród ruin i łoskotu świata uratowałeś: a ty wyższym nad ziemską sferę polotem wzniesiony, zapowiadasz — więc ią ieszcze na łono Boga samego uniose! aby się na nią nikt więcéy targnąć nie ważył. — Rzekłeś — a zalekńione wiry Elstery przyimuiąc ze drzeniem pluszczące ranami twe święte zwłoki, ponurym szumem i lękiem odmetry oceanu przestraszyły.

O Rycerzu! przeszłych i przyszłych wieków woia-

kich ozdobo! o drogi dalszych nadziei naszych promieniu...

Wzywam was tu z czterech końców szerokiego świata. I was, którzyście ziemię rodzinną Pompeiuszów szukaniem zbrojnym wolności i niepodległości waszey lat tyle pocieszali. I was którzyście po skalistych urwiskach Pireneów zardzewioną sławę pobratnich naszych Wandalitów świetnym orężem odkopywali. I was krain Jezostrysa orężni wędrowcy; i was nakoniec zabóyczego wyspu Domingi smutne ofiary! Wzywam was tu — stańcie! otoczenie ten śmiertelnością tlejący Maiestat Wodza waszego. I także owa wasza szerokobrzemienna sława dogorywa? Kto wasze nieocenione czyny oceni? Kto ie nagrodi? Czy te słowa na papierze z wiatrem ulotne? Czy te chrapliwe ięki dzwonów i spiży w powietrzu nękające? Czy ta świetna okazałość powszechnym szacunkiem i żalobą roziskrzona, której po iutrze śladu nie będzie? Czy te wreszcie marmury i kolosy, na których modrzewy i iodły będą w czasie zarastać? Któż opłaci tyloletnie wasze znoie i poniewierki? ten wiek odkwitnioney młodości marnie stywany? te bliźny i kalectwa nieuleczalne? te członki morderczym ciosem odcięte? Kto pocieszy te wdowy i pisklęta po was osierocone? Kto rozsądzi i wyświeci rzetelne zasługi zapomniane, a lada nizezemiowi podstępnie przyznane i uświetnione? Kto te drogie imiona z odmetu niepamięci wytrząśnie, które może nayważniejszych czynów pierwszemi były sprawcami...

o Bracia! iakimże łez strumieniem opłakać by was należało...“

* * *

Pewnego dnia, w końcu stycznia, gdy cesarz Napoleon koło godziny trzeciej po południu, powróciwszy z wizytacji swoich fortów na Elbie, siedział na sofie w pałacu, myśląc o utraconym synu i wiadomym mu romansie Marji Ludwiki z hrabią Neippergiem, o hańbie swojej, śmieszności i nieszczęściu: zameldowano mu przybycie niejkiej Amelji Richard z Paryża z ważnemi wiadomościami, które tylko samemu cesarzowi mogła zwierzyć.

— Czy zrewidowano tę kobietę? — zapytał.

— Tak, najjaśniejszy panie — meldował oficer służbowy.

— Nic podejrzanego nie znaleziono przy niej?

— Nic.

— Żadnej broni?

— Żadnej.

— Czego chce?

— Ma ważne wiadomości.

— Aha! Mówiłeś. Jak się nazywa?

— Amelja Richard.

— Sama przybyła?

— Sama.

— Policja ją przesłuchiwała?

— Tak, sire.

— Kiedy przybyła?

— Wczoraj wieczorem.

— Jakim okrętem?

- Włoskim.
- Gdzie spała?
- W nowej oberży na wybrzeżu.
- Wychodziła wczoraj?
- Nie.
- Dziś?
- Jadła śniadanie u siebie, potem chodziła nad morzem.

- Rozmawiała z kim?
- Nie.
- Wprowadzić. Baczość!
- Podług rozkazu, najjaśniejszy panie!

Oficer wyszedł, cesarz zaś wziął duże wydanie Corneille'a i położył w ten sposób, iż zakrywało pistolet, który umieścił za książką obok siebie.

Weszła kobieta w czarnej sukni, w kwefie na głowie i składała mu ceremonialne dworskie ukłony według wszelkich przepisów etykiety, poczem, nim usta utworzył, ozwała się pierwsza po włosku:

— Jestem osobą z arystokracji rosyjskiej. Księżna X.

Cesarz wstał z sofy i krok naprzód postąpił.

— Księżna X., Rosjanka? Pocóż ta maskarada? Ten pseudonim?

— Nie chciałam wzbudzać podejrzeń, najjaśniejszy panie. Dzięki mojej francuszczyźnie, mogłam się zrobić Amelją Richard, która wysłana jest z wiadomościami wyłącznie dla ciebie przeznaczonemi, sire. Jadę z Wiednia —

— Z kongresu?

— Miałam zaszczyt tańczyć z Aleksandrem Pierwszym, Franciszkiem Drugim i Fryderykiem Wilhelmem Trzecim.

Machnął niedbale ręką.

— Radzą o mnie, co? Chcą mnie się pozbyć, kazać mnie zamordować? Co?

— Gorzej. Lord Castlereagh i książę Talleyrand postanowili waszą cesarską mość wysłać na jedną z angielskich wysp na oceanie. Mówią o Świętej Łucji. Nawet o Botany Bay, gdzie klimat jest jeszcze gorszy.

— Ah! Ah! Cóż na to mój kuzyn, Ludwik XVIII?

— Król Ludwik? Mileczy, jak co do dwóch milionów, mającymi być wypłacanemi waszej cesarskiej mości.

— Jabym je mu wypłacał na jego miejscu. Oto jest „wrodzona szlachetność rasy“. Mniejsza o to! Ale wie o tem, co zamierza koalicja?

— Czarny gabinet komunikuje mu wszelkie uchwały kongresu.

— Cesarz Napoleon na wyspie Świętej Łucji... Okropnie!

— Zapewne. Mogliby przecież waszą cesarską mość wysłać gdzie indziej, naprzykład na San Domingo — —

Napoleon tupnął nogą i uderzył pięścią w stół.

— Pani! — krzyknęła. — Rozumiem twoją intencję! To jest zuchwalstwo! Radzę się nie zapominać, bo i z Elby nietylko z San Domingo, można nie wrócić!

— Niewątpliwie, najjaśniejszy panie, ale o to właśnie idzie, aby wrócić.

Napoleon przeszedł się po pokoju, poczem stanął obok księżnej i ujął ją za rękę.

— Powiem wprost: Jest we mnie coś, co wiąże mnie z osobą waszej cesarskiej mości. Powiedziałabym, że coś podobnego wiąże z twoją osobą Rosję —

— Tak — przerwał cesarz — Rosja oparła się mnie i tej cywilizacji Zachodu, która szła do niej ze mną — a jednak nie zapomni już ani mnie, ani tej cywilizacji. Będzie to w niej tkwić i drażyć jej pień twardy i potworny. Więc mówi pani, że chcą mnie deportować!

— Chcą się ciebie pozbyć raz na zawsze, sire.

— Ah, ah! Raz na zawsze. Wiem o tem, strzegę się. Mój stróż angielski Campbell wie, że nie dam się wziąć dobrowolnie, że kto tu przyjedzie po mnie, musi skruszyć moje fortyfikacje.

— Silniejsze zapewne, niż paryskie.

Wielkie wydanie Corneille'a poleciało na ziemię.

— A do krośet! — krzyknął cesarz. — Kpisz pani, czy o drogę pytasz?! Nie mogłem obwarowywać Paryża, budziłoby to bowiem nieufność w moją potęgę! Wiesz pani, że murem Sparty były piersi jej wojowników!

— Znam historję hegemonji Teb, najjaśniejszy panie. Co znaczyl ten pistolet za tą książką, którą wasza cesarska mość raczyła rzucić na ziemię?

— To, że mam dokładną świadomość mego położenia na Elbie.

— Słuszną. Mówiono już o wysłaniu przeciw Elbie eskadry hiszpańskiej, na podstawie, że Hiszpanja nie

ratyfikowała traktatu w Fontainebleau i pozostaje z tobą na stopie wojennej, sire.

Napoleon popatrzał na księżnę, potem zaczął się śmiać.

— Ze mną? Na stopie wojennej? Hiszpanja? To nazbyt śmieszne! To zupełnie tak, jakby z lwem w klatce stado byków pozostawało na stopie wojennej. To dowcip Talleyranda. Metternich nie zdobyłby się na niego. Tylko Francuz potrafi być tak bezczelnie dowcipnym, kanalja!

— Nie jest to dowcip, sire. Idzie tu o głębokie rzeczy —

— Boją się mnie? Jeszcze? Co?

— Boją. Mówiono także w Wiedniu o korsarzach angielskich, którychby można nająć —

— Aby mnie zamordowali? To byłoby wiele prawdopodobniejsze, niż podjęcie wyprawy przez Hiszpanję. Jacykolwiek są hiszpańscy Bourboni, tej infamji — by się nie podjęli.

— Jeżeli o to chodzi, sire, znaleźliby zastępców. Dey Algieru wydał rozkaz, aby aresztowano wszelkie okręty pod flagą elbską, a gdyby się zdarzyła okazja zaaresztować osobę suwerena Elb, aby się stało.

Napoleon wstał i począł chodzić po pokoju, od czasu do czasu pocierając czoło.

— Wiem, że się chcą mnie pozbyć — mówił. — Życie moje wisi na włosku. Nie potrzeba ani korsarzy, ani Deya Algieru, wystarczy morderca.

— Cały pewien klasztor męski w Rzymie ofiaro-

wał swoją gotowość pod tym względem. Więc i to być może.

— Mnichy?! A psy parszywe! Komu się proponowali?

— Księżciu Talleyrandowi.

— Lotr! Zrobiłem go księciem Beneventu!

— Mało korzysta z tego tytułu.

— Mnichów się nie boję. Mam dobrą straż — rzekł Napoleon, udając, że nie słyszy. — W ten sposób nikt mi nie zrobi.

— Mylisz się, najjaśniejszy panie; między twoimi własnymi żandarmami są przekupieni ludzie — odpowiedziała księżna.

Napoleon stanął.

— Przez kogo?

— Przez hrabiego d'Artois. Ponadto wielu ludzi, którzy mają słusne czy niesłusne, nie o to teraz idzie, powody zemsty i nienawiści: myślą, że teraz jest sposobność dosięgnąć niedosięzonego. Nie jesteś już w Tuillerjach, najjaśniejszy panie, ani w Saint Cloud.

— Wiem o tem.

Cesarz począł chodzić nerwowo po pokoju; po pauzie zaczął, jakby do siebie:

— Śmierci się nie boję. Mówiłem Campellowi: niech mnie zamordują, jestem żołnierzem. Gorszą byłaby deportacja. Jednak to ciągle uczucie wiszącej śmierci... Żadna godzina niepewna... Bitwa trwa dzień, giną naokoło. Ale tak czuć te sztylety skierowane ku sobie. Nie będą spokojni, aż się mnie pozbędą. Boją się mnie, mego syna, mego nazwiska. Nie wolno mi chcieć zo-

stać Rudolfem Habsburgiem mojej rodziny. Czasy się zmieniły. Urodziłem się za późno... Mój syn byłby już synem cesarza i arcyksiężniczki. Urodzeni dynaści nie darują mi, że wszedłem między nich, gorzej, trząśł nimi, jak gruszkami na drzewie. Arystokracja całego świata mnie nienawidzi. Ludzie, którzy się przy mnie zbogacili, chcą ustalenia sytuacji. Podłe mieszczaństwo... Lud i armja... Jak przyjmują w Tuillerjach moich marszałków, ludzi cesarstwa?

— Pani Ney płacze po każdym balu.

— Dlaczego?

— Ponieważ jest tylko panią Ney.

— Do kroćset! Jest żoną marszałka, bohatera Moskwy!

— Sire, byłem na obiedzie w Tuillerjach i siedziałam obok, kiedy stary książę Choiseul położył rękę na ramieniu Lefebvre'a i powiedział mu: „Co za szkoda, panie marszałku, że wy nie macie tego, co my, co się nie da dać“.

— Powiniennem był zgnieść całą arystokrację borbonską.

— I to prawda. Mówiąc bezstronnie, królem może zostać każdy, choćby Murat, ja, mój brat Józef, czy Hieronim — ród, nazwisko tworzą wieki.

— Ty sam, sire, stworzyłeś największe pośród ludzi w ciągu lat kilku.

— Ale stale obok tytułu imperatora nosiłem drugi tytuł: uzurpatora. Matka cara nie nazywała mnie inaczej: „Korsykański uzurpator“.

— Gorzej — —

— Wiem i to: potwór z Korsyki. Wiedziałem wszystko, co mówiono o mnie, tylko póki byłem na szczycie, lekceważyłem i moich wrogów i ich ślinę, która padała na stopnie mego tronu, mojej chwały.

— Też ci nikt nie odbierze, sire.

Napoleon stanął przed księżną, rozstawiając szeroko nogi.

— Chwała bez potęgi? Taka chwała jak moja? Mościa księżno, Kolumb lub Kopernik mają niemniejszą ode mnie, a jednak lada oficerzyna z mojej gwardji miał wstęp codzien tam, gdzie oni byłiby trzy razy na rok zaproszeni, a pierwszy lepszy hrabia odbiera niskie ukłony od tych, którzyby się Kopernikowi i Kolumbowi nie usunęli z ławki w parku wersalskim. Chwała? Chwała musi mieć mundur i szpadę, lub stanowisko i pieniądze. Inaczej jest czym dymem, a może się stać pośmiewiskiem, tak jak moja obecnie. Mówią o Karolu Piątym i pendzlu Tycjana; gdyby Tycjan podniósł chustkę od nosa Karolowi Piątemu, toby nikt o tem nie wiedział nawet. Żaden kronikarz nie notowałby tego faktu. Stanowisko robi wszystko. Tycjan był genjuszem, a Karol Piąty miernym, przeciętnym człowieczyną. To są właśnie te przekłete przywileje arystokracji rodowej, Polignaców i Fezensaców, o które sobie wiecznie nosy rozbijają będą parowie mego cesarstwa do dziesiątego pokolenia. Gdybym się był urodził w czasach wojen krzyżowych, byłoby inaczej. Ale dosyć o tem. Czy dawno była pani w Rosji?

— W zeszłym roku.

— Co tam mówią o mnie?

— Kalmuki śpiewają o tobie w dalszym ciągu, sire:

„Przyszedł burzyć ołtarze,
niewinnych ludzi mordować“,

i tam dalej; tacy, jak ja, żalują cię.

— Żem upadł?

— Żeś odszedł ca ły.

— Żem odszedł?

— Tak. Cała olbrzymia, tajemnicza Rosja drgnęła pod twoją stopą. Wojsko twoje powinno było wrócić na Zachód, ale ty sam, sire, powinienes być pozostać.

— Pozostać? Jako co?

— Jako cesarz Napoleon. Istota twoja, sire, powinna była snuć się po Rosji, od Moskwy po Astrachań, od Petersburga po Bajkał. Car Napoleon powinien był błądzić po Rosji, od zamków do chat, od gmachów rządowych do koszar, od cerkwi do klasztorów...

— Niby co?

— Ty tego nie zrozumiesz, sire. Na to trzeba być Rosjaninem. Mistyczny twój kształt tumanem błędnym powinien być krążyć po niezmiierzonych przestrzeniach. Wtenczas pokochanoby cię, uwielbianoby cię, sire, uwieźronoby w twoją misję, obwołanoby cię świętym. Wyprawa twoja stałaby się dla ogółu koniecznością, sprawioną przez Boga. Inaczej byłbyś nie przyszedł, a musiałeś wejść do Rosji — Bóg tak chciał. Byłbyś opanował Rosję duchem.

— Fantazje wschodnie!

— Tak, ty tego nie zrozumiesz, najjaśniejszy pa-

nie. Urodziłeś się na małej wyspie, mieszkałeś w Paryżu. Żadnej z Francuzek, Włoszek, Niemek, Angielek, które cię otaczały, nie przychodziło na myśl to, co mnie — —

— No?

— Porwać cię, sire.

— Mnie?! Porwać?! Kiedy?!

— Kiedy wracałeś z Moskwy.

— Miałem sto tysięcy żołnierzy.

— A ja dwustu dworskich kozaków i stu Tatarów. Napoleon zaczął się śmiać.

— Cóż za szaleństwo! Co pani mówisz?! Myśl wariacka. Ah! Ah!

— Otóż to właśnie. Wy, ludzie Zachodu, nie rozumiecie szalonych myśli. Polacy, w których Wschód walczy z Zachodem, zawstydziła całą twoją armję, sire, w wąwozie Samo-Sierry: szaleństwem. My mamy inne szalone myśli. Ja byłabym cię, najjaśniejszy panie, kazała schwycić moim Tatarom na arkan, a potem zginęła z tobą w nieprzemierzonych stepach Rosji, nie wiem poco, nie wiem dlaczego, wtenczas nie zdawałam sobie sprawy poco, aby cię tylko posiadać, mieć — — czy dla siebie, czy dla Rosji — — chciałam, abys mnie był wtedy zapłodnił, mnie czy Rosję — — nie wiedziałam... Powiedziałam raz, że chciałabym cię mieć, jak tygrysa w klatce, ale to głupiec wywołał te słowa — — wiem, że chciałabym cię była mieć, jak tuman błędzący wraz ze mną po wszystkich nieprzejranych guberniach rosyjskiego imperjum.

— Cóż dalej?

— Sasiadka moja, Olga Piotrowna Zastrowa, szła za tobą z chłopami i mordowała twoich żołnierzy, a sama byłaby ci własną ręką toporem rozbiła czaszkę, sire, za to, że najechałeś jej ojczyznę.

— I to szaleństwo. Byłem zmuszony, miałem racje polityczne.

— Racje polityczne. Czy rychtując armaty na Paryżan, rozpędzając Radę Pięciuset, jadąc do Egiptu, nie ważyłeś się, sire, na rzeczy szalone?

— Miałem zawsze wytknięty jasno cel, rozważałem zawsze „pro“ i „contra“, obliczałem siły swoje i przeciwników i opierałem się na danych politycznych i rachunku prawdopodobieństwa.

— To robiła głowa twoja, sire; serce twoje musiało być szalone, inaczej nie byłbyś się stał tem, czem byłeś — — czem być możesz jeszcze — —

— Być mogę jeszcze?

— Tak! Na honor! Czy widziałeś to?!

Księżna wydobyla portmonetkę, a z niej sztukę monety.

— Cóż to jest? — spytał cesarz.

— Czytaj, sire!

— Portret mój i Marji Ludwiki. „Courage et espérance“. Ładny napis.

— A oto druga:

— Śpiący orzeł. „Il se réveillera“.

— Oto trzeci medal:

— Śpiący lew. Cóż napisano w otoku? „Le réveil sera terrible!“... Sądzą, że się obudzi“?

— Architektowi, który miał stawiać pamiątkową

kolumnę wylądowania Ludwika XVIII pod Calais, rzucił ktoś, aby ją wybudował na kółkach, żeby się mogła łatwiej wytoczyć za osobą króla przy nowym odjeździe.

— Nadzwyczajny pomysł! Hahaha! Nadzwyczajny!

— Patrz jeszcze, najjaśniejszy panie:

Księżna rozwinęła afisz uliczny. Nosił on wielkimi, czerwonymi literami drukowany napis: „Vive l'empereur! Il a été et il sera!“

— Ah! Ah! To było po rogach ulic?

— Tak. Napoleoniści są wszędzie, po wsiach i miastach, w Paryżu i na prowincji. Kiedy spotykają się, witają się pozdrowieniem:

Wierzysz w Jezusa Chrystusa?

Tak, i w jego zmartwychwstanie.

Jesteś, sire, noszony na laskach, fajkach, tabakierkach, pierścionkach. Jesteś na wierzchu i w ukryciu. Niezgrabne brązowe statuetki Ludwika XVIII otwierają się, a wewnątrz jest twoje ślicznie cyzelowane popiersie brązowe. Mają cię na szczytach do pieca, na nożach do przecięcia papieru, na kałamarzach, wszędzie. Nie skończyłabym wyliczając. Niezadowolone z króla wzrasta. Ukuto przysłowie: „Król, zjadłszy obiad, myśli, że lud jest szczęśliwy“. Budzą się partje. Tworzą się spiski. Bourboni się mszczą, a to rodzi nienawiść. Z kongresu wiedeńskiego nikt nie jest kontent. Car Aleksander chciał, aby Księstwo Warszawskie jemu oddano, by do niego mógł przyłączyć inne swoje posiadłości polskie i stworzyć Królestwo Polskie z oso-

bnymi instytucjami liberalnymi i koronować się królem polskim. Fryderyk Wilhelm pragnąłby, aby Fryderyka Augusta, jako sprzymierzeńca twego, sire, pozbawiono saskiego tronu i jemu go oddano. Anglja i Austrja sprzeciwiają się jednemu i drugiemu, aby nie być zdystansowanymi. „Czterej“, jak ich nazywają, są w dysharmonji. Mądry Talleyrand wiedział naprzód, że antagonizm sprzymierzonych wyjdzie na korzyść powagi i znaczenia Francji i pompuje, ile może. Ale Aleksander jest obrażony na Ludwika Ośmnastego, który wszystkie dynastje europejskie uważa za parwenjuszów i głośno to mówi, a podobno powiedział i jemu samemu. Aleksander zato ze swej strony głośno oświadcza, że go los Bourbonów mało obchodzi i żeby się trzymali sami na tronie, bo ich drugi raz wsadzać na niego nie przyjedzie czterysta mil. Armja francuska jest lekceważona bez ciebie, sire. Metternich nie chce sojuszu z narodem, który potrafił ściąć króla i królową, Castlereagh podejrzewa Talleyranda, że widzi interesa Francji za Renem, Nesselrode nie ufa wszystkim trzem. Kongres jest „tańczący“, suwerenowie się przechadzają pod rękę, ale każdy ma psa, który szczyrzy na drugiego zębami. Najjaśniejszy panie! Przyplynałeś do Francji z Korsyki, trzy razy wchodziłeś do niej przez Alpy, przepłynąłeś do niej z Egiptu, najjaśniejszy panie: odważ się i wracaj!

Księżna powstała, mówiąc z zapałem.

Napoleon oparł się o stół.

— Trzebaby być pewnym — rzekł.

— Wierz w twoją gwiazdę!

— Zaszła w chmury u was w 1812-tym roku.

— Proletariat jest za tobą. Nienawidzi Bourbonów, obawia się powrotu epoki ucisku. Armja uwielbia zawsze swojego „ojca fiołka“. Nie odmalowałam ci dostatecznie, sire, sprzeczności, chaosu zamętu, w jakim znajduje się Francja. Zwolennicy porządku Bourbonów i porządku Bonapartego idą tam na noże! Potrzeba śmiałego kroku. Przypomnij sobie siebie samego, sire! Na abdykację jesteś jeszcze za młody! Masz syna!

Czoło Napoleona zmarszczyło się.

— Powtarzam ci: masz syna, sire! Czy masz prawo krzywdzić to dziecko, pozbawiać je tronu, do którego ono się już urodziło?

— Zabrali mi go. Nie widzę go — szepnął cesarz.

— Więc go im odbierz zpowrotem! odbij! Administrujesz tu, budujesz oberżę, fortyfikacje i altany, sądzisz, rządzisz, pracujesz i działasz w królestwie godnem Sancho Pansy — Cezarze! Co powie o tobie syn twój, gdy myśleć zacznie?

— Tak — — sam to sobie mówiłem nieraz — — ale — —

Przedewszystkiem jestem strzeżony. Campbell chroni mnie może od morderców, reprezentując Anglję, ale wiąże mi ręce i nogi swą obecnością.

— Pamiętałam o tem.

— Cóż z tego?

— Znam pewną damę florencką, którąby Campbell bardzo pragnął jak najczęściej widywać.

— Paulina mówiła mi, że ma kochankę z pośród arystokracji florentyńskiej. Znasz ją pani?

— Znam. Campbell odjedzie na pewien czas z Elby. Napoleon uderzył w dłonie i krzyknął:

— Ej?

— Odjedzie. Jest to moja rzecz. Hrabina jest twoją stronniczką, sire.

— Istotnie?!

— Była ona jedną z tych, którzy sypali kwiaty pod kopyta twego konia w Medjolanie. Podbiłeś wtedy wiele włoskich serc, które pozostały ci wierne, tak jak to Włoszki umieją. Wkońcu jesteś, sire, krwią ich krwi i kością ich kości. Możesz liczyć na nią. Potrzeba, abyś tylko pozwolił mi zakomunikować jej jedno słowo: tak.

Napoleon począł chodzić ogromnemi krokami po pokoju. Czoło jego ściągnęło się nad oczyma, usta ścisnęły się ku górze. Długo trwało niezem nieprzyrywane milczenie. Księżna śledziła grę twarzy Bonapartego, który zdawał się zupełnie nie pamiętać o jej obecności obok siebie. Twarz ta nabierała energii i traciła ją naprzemian. Snać mózg cesarza pracował głęboko i potężnie. Wydawało się księżnej, że rezygnacja przeważa. I tak było istotnie. Bonaparte myślał:

— Ostatecznie czem jestem? Napolione Buonaparte. Mieć ośm tysięcy hektarów własności, wojsko, tytuł cesarza, bądź co bądź spory majątek — — jeźelibym potrafił wbić w Aleksandra i Anglików przekonanie, że się stąd nie ruszę, daliby mi spokój. Rok, dwa niepokojów i czujności, niechęci i knowania ustały by. Gdyby mi tylko zagwarantowano, że mnie nie wywiozą na Świętą Łucję, ani Botany Bay...

Księżna uśmiechnęła się z ironją i szepnęła dosyć głośno:

— Ludzie stają się bogami, bogowie ludźmi.

Napoleon zatrzymał się.

— Co pani mówisz?

— Nic.

— Owszem. Mówiłaś pani. Powiem ci nawet co; słyszałem.

— W takim razie pocóż się wasza cesarska mość trudzi pytaniem?

— Jesteś pani zbyt zuchwała! Zwróciłem już pani uwagę! Igrasz pani z ogniem!

Księżna popatrzyła chłodno i rzekła powoli:

— Czyż rzeczywiście, najjaśniejszy panie?

Błyskawice, owe znane, straszne błyskawice zapaliły się w oczach cesarza. Lecz zastanowił się.

— Właściwie — — właściwie o co ja się uniosłem...

Ten pobyt na Elbie drażni mnie... Powiedziałaś pani, że ludzie stają się bogami, bogowie ludźmi.

— Tylko to, sire.

— Dlaczego wydało mi się, że chcesz mi pani ubliżyć?... Bogowie stają się ludźmi...

Czoło cesarza zmarszczyło się znowu. Znow chodząc począł wzdłuż pokoju, a przez mózg jego leciały płomieniste zygzaki:

— Paryż... Marengo... Dessaix... Austerlitz... Mój syn... Mordercy... Deportacja...

Zatrzymał się.

Stał przed księżną i rzekł cicho i stanowczo:

— Niech Campbell uwolni mnie od siebie.

Księżna chwyciła go za rękę.

— Francja!

— Nie wiem... Usuń pani Campbella, jeżeli możesz. Oddał jej uścisk, poczem usiadł, mówiąc tonem niezwyčajnym, miększym:

— Dziwna z pani kobieta. Co pani istotnie na tem zależy?

— Nie wiem, nie wiem, najjaśniejszy panie. Co mnie na tem zależy. Potrzeba cię, potrzeba cię, sire.

— A jeśli próba się nie uda? Jeżeli rzecz się załamie? Runę jeszcze głębiej?

— To ruń, sire, ruń! ale w taką przepaść, aby świat zdrzął! Niech będzie! Lecz niech to będzie godne ciebie! Prometejskie!

Zatrzymała się i spojrzała w oczy cesarza, lecz ten mówić począł łagodnie.

— Prometeusz przykuty był do skały Kaukazu i sęp pożerał mu wątrobę. Ale oswobodził go Herakles. Lecz jeżeli mnie przykują do skały — — oswobodzi mnie tylko śmierć... Nie widziałem nigdy takiej kobiety, jak pani. Pani sama nie wiesz dobrze, dlaczego chcesz, abym ryzykował. Jednak chcesz tego. Jest jakiś węzeł takiej istoty, jak ty, i takiej istoty, jak ja. I to musi być wieczne. Ty chcesz ode mnie wszystkiego. Chcesz, abym wypełnił wszystko, co wypełnić mogę, lub co mi jest przeznaczonem, nawet to, czego mógłbym uniknąć. Rozumiem to. Takie żywioły, jak nasze, muszą w naturze zawsze krążyć blisko siebie, element twój, pani, obok mojego. Jednak określić tego dokładnie niepodobna... Audjenceja skończona. Postaraj się

pani odsunąć stąd Campbella. Jego obecność na wyspie paraliżuje moją myśl. Jest to towarzysz-żandarm. Czy nie powinienem kazać księżny aresztować?

Księżna na ten nagły zwrot, wypowiedziany napół-serjo, zaczęła się śmiać.

— Podejrzliwość i przezorność Cezara! Jestem Rosjanką, emisariuszką, wyłudziłam z ciebie twe myśli, sire. Pociągnę za taśmę.

Śmiejąc się, wyciągnęła rękę ku taśmie od dzwonka, obok wiszącej.

Cesarz zatrzymał ją.

— Wyłudziłaś ze mnie pani to, co oni wiedzą, że myślę. Jeżeli Campbell odjedzie, a ja zostanę, udowodnię moją lojalność. Jeżeli zechcą, przysła straż. Nie mają mnie przecież za takie bydlę, aby przypuszczali, że mi tu dobrze, że nic nie pamiętam i o niczem nie marzę. Ale przysięgnij mi pani na ewangelję, że nie jesteś wysłanką Talleyranda i Castlereagha.

Księżna podniosła dłoń do góry i rzekła:

— Przysięgam, że jeżeli cesarz Napoleon Bonaparte nie pozostawi tronu swego Bonapartym, nie był go godnym!

Napoleon trzymał Nowy Testament do pół wysunięty z pomiędzy książek na półce; wepchnął go w głąb i rzekł:

— Przysięga księżny jest nowem dla mnie wyzwaniem. Na honor! Państwo Bonapartego powinno być tylko dla Bonapartych! Jeżeli Egipt miał więcej niż trzydzieści dynastji, i Francja może mieć czwartą! Jak Menes pięć tysięcy lat temu połączył Górny Egipt

z Dolnym, tak ja połączyłem Francję i Włochy. Precz z Hyksosami! Cesarstwo Bonapartego dla Bonapartych!

Księżna złożyła potrójny głęboki ukłon, cofając się tyłem. Audjencja była skończona.

Napoleon zerwał kwiat róży z pęku stojących wazonie i podał go księżnej, mówiąc:

— Na pamiątkę.

— Hojnie mnie wynagradzasz, najjaśniejszy panie: żyjącym kwiatem zwycięzców — odpowiedziała, przytykając kwiat do ust.

Napoleon uśmiechnął się:

— Do widzenia w Paryżu.

— Vive l'empereur! — podnosząc lekko głos po zęgnąła księżna cesarza.

Niedługo potem, 13 lutego, gorący stronnik cesarza, były podprefekt w Reims, Fleury de Chaboulon, w porozumieniu z najwierniejszym z wiernych, ministrem Maratem księciem Bassano, przebrany za majtka przybył na Elbę z o wiele dokładniejszymi i wymowniejszymi wieściami. Mówił on wprost, że Francja czeka i wzywa.

Cesarz chciał takiego wezwania. Chciał zostać przekonany. Chciał aby go zdecydowano. Zdecydował się.

Rzykował już tylekroć razy. Całe życie jego było jednym hazardem, jednym ryzykiem. Gdyby nie odwaga rzucania się naprzód, nie byłby niczem. Jego karjera była nieustanną przygodą. Gdyby nie historia, za tysiąc lat nowy Ariosto napisałby poemat, w któryby nikt nie chciał wierzyć, jak w poemat, o szalonym

Rolandzie. Trzeba chcieć żyć... Wyzywać przeznaczenie...

Fleury de Chaboulon zapewnił go o wszelkich danych powodzenia imprezy, 16-go zaś lutego angielski dozorca Campbelle, otrzymawszy z Florencji list z zaproszeniem, złożył pożegnalną wizytę, zapowiadając powrót za dni dziesięć, najdalej dwanaście, i opuścił Elbę.

Sama więc Opatrzność wskazywała mu swoją wolę. Fortuna uśmiecha się na nowo, gwiazda Napoleńska błyska. Byłby niedolegą, tehórzem, niegodnym swego imienia, swojej przeszłości, siebie, gdyby się wahał!

Był zdecydowany, ale się wahał!

Nigdy nie miał się porwać na tak szalony czyn. Nie miał już lat dwudziestu pięciu, miał ich o przeszło dwadzieścia więcej, a nigdy nie miał się porwać na tak szalony czyn. Francji był pewny, ale wejść do Paryża, to nie było w nim zostać. Kongres wiedeński zamieni się w nową koalicję, zaciętszą, sroższą. Stał się cesarzem z woli Francji, uznano go poza Anglią wszędzie, a nie chciano go cierpieć. Cóż dopiero, gdy pokaże się w roli rzeczywistego uzurpatora tronu...

Uzurpatora? Nie! Odzyskiwacza!

Ta dialektyka jest próżna. Byłoby to ludzeniem samego siebie. Uczynić trzeba będzie wszystko, aby zjednać sobie całą Francję i uniknąć wojny z koalicją.

Powrót.

Jeszcze dreszcz przechodził go na wspomnienie niebezpieczeństwa odjazdu...

Lecz teraz wstąpi na ziemię francuską z wojskiem, które zabierze.

Gwiazdo, gwiazdo szczęścia! Ty musisz błysnąć!

Ani matka, ani siostra Paulina Borghese nie wiedziały o niczem, nie przeczuwały niczego. „Flota“ została przygotowana: jedne okręciki miały przywozić drzewo z Rio do Porto Ferrajo, drugie amunicję z Porto Longone. Bryg został zaprowidowany na 120 ludzi na trzy miesiące. Może do Ameryki? Do Francji i do Włoch jedzie się krócej z Elby, niż trzy miesiące. Kasjer Peyrusse gromadzić ma złotą monetę. Cesarz spędzi czerwiec i lipiec w Marcjanie.

Jednemu się tylko zwierzył, kamiennie przywiązanemu generałowi Drouot i ten czynił, co było w mocy ludzkiej, aby go odwieść od szalonego zamiaru. Lecz cesarz odpowiadał mu: słyszałeś, co opowiadał głośno po kawiarniach i restauracjach ten kupiec z Marsylji, który aż do mnie dotarł, Albert czy jak mu tam: że król jest znieawidzonym, że wystarczy mego kapelusza na wybrzeżu Prowancji, a arystokracja i bogata burżuazja będzie mu s i a ł a przyjsć. Bóg dał, że Campbelle djabli stąd wynieśli. Ale to potrwa jeszcze tylko dni kilka. A więc naprzód! Dwudziestego szóstego lutego jedziemy.

Lecz w nocy z dwudziestego trzeciego na czwarty piorun uderzył w duszę cesarza, szybującą już na olbrzymich skrzydłach nowych czynów, może nowych wojen, zwycięstw, panowania i chwały!

Fregata angielska Perdix zawinęła do Porto Ferrajo.

— Przestroga Opatrzności, najjaśniejszy panie! — błagał generał Drouot.

— Pierwszy czyn. Wpadnę z moimi, rozbroję Anglików i przeprawię się na ich własnym okręcie! Ah! Ah! Oto byłby fakt, któryby zdumiał świat od pierwszego kroku! A zostałby w pamięci wieków więcej, niż łódka Cezara!...

Lecz zaraz potem zląkł się. Głowę zwiesił na oczy opadły mu powieki i, bijąc szpicrutą po cholewie, krążyć począł po pokoju, ciągnąc z sobą pod ramię Drouota.

— Nie... To byłby „casus belli“ z Anglią... Przekłęcie! Odjeżdża komisarz angielski Campbell, przyjeżdża kapitan angielski Adye. Los widocznie chce, abym się wiecznie dławił Anglikami. Wszystko złe dla mnie, dla mojej misji światowej, pochodzi z Anglii. Wszystko stracone. Gdy Campbell wróci, wszystko przepadło. Nie mogę go przecież kazać zamordować. Jestem zgubiony. Projekta moje są rozbite.

Generał Drouot zauważył, że ten człowiek nie ma już dawnego, znanego mu hartu umysłu, woli i natury. Z ekstazy ufności i zapału popadł odrazu w skrajny pesymizm i zwątpienie. Głowa jego nie szukała nowej drogi, aby przeprowadzić to, czego serce żądało. Nie wiedział o tem, nie czuł tego, ale nie wierzył już w siebie.

Ciosy były tak silne, następowały za gwałtownie, zanadto bezpośrednio po sobie.

Pogrom w Rosji, Lipsk, Saint-Disier, abdykacja — ten człowiek był już skończony. Złamał się.

Lecz generał Bertrand przyniósł wiadomość, że kapitan Adye, który mu złożył wizytę, odplywa.

— No! — zawołał cesarz do generała Drouota. — Teraz jestem przekonany, że fortuna mi sprzyja na nowo! Wszakże to tak, jak gdybyś tonął, a kołyszący się na powierzchni morza czarny przedmiot okazał się łodzią ratunkową, nie rekinem! Czy jeszcze będziemy wątpili, że los chce, abym mógł udać się do Francji?! Samo fatum usuwa mi z drogi przeszkody! Naprzód więc! Naprzód! Generałowie Augereau nie tylko zdejmą kapelusze, ale zadrżą o głowy! Marsz!

Lecz gdy przyszła chwila wsiadania na bryg l'Inconstant, gdy już wszystkim na wyspie było wiadomem, że cesarz przedsięwzię jakąś ważną, tajemną wyprawę, gdy wojsko jedno znajdowało się na pokładzie, a drugie prezentowało broń, gdy legendarny czarny kapelusz i legendarna szara kapota wywołały okrzyki: „vive l'empereur! eviva Napoleone!“ gdy tłumiąc wymuszonym sztucznym spokojem wewnętrzną obawę i niepokój na twarzy, cesarz wstąpił na pokład, powierzywszy matkę i siostry gwardji narodowej: wówczas morze nagle dostroiło się do owego sztucznego spokoju majestatu, ono, wiecznie ruchliwe i wiecznie płynne.

Sygnalowy strzał armatni odjazdu nie wzruszył go. Cesarz stał na pokładzie brygu l'Inconstant, w otoczeniu okrętów la Caroline, le Saint Esprit, l'Etoile i le Paint Joseph i patrzył na powierzchnię morza. Ani jedna fala nie miała szklanej gładkości wody. Wzrok cesarski biegł po zamarłej tafli i dusza jego zamarła. Z rękoma wtył założonemi, z lunetą w dłoni poza sobą,

stał i patrzył na tę dal i tę głęb, bez słowa i bez ruchu, na pokładzie brygu l'Inconstant.

Oczy ludzkie weń utkwione pytały: o czem дума? On zaś rozmawiał z morzem.

— O morze! — mówił — czemu zatrzymujesz mnie, gdy oto znów dążę do chwały, do czynów, do wielkości...

— Szalony! — odpowiedziało morze. — Szalony!...

— O morze! — mówił on. — Błagam cię! Wzrusz fale, bym mógł płynąć ku chwale, ku czynom, ku wielkości!...

— Szalony! — odpowiedziało morze. — Szalony!...

— Wichrze! Bracie mój! Ty, który nie znasz i nie nawidzisz spoczynku, ty, którego śmiercią jest spokój, błagam cię, wzrusz te martwe wody naokół, abym mógł znowu płynąć ku chwale, ku czynom, ku wielkości!...

— Szalony! — odpowiedziało morze. — Szalony!...

Wicher morski milczał.

Zniecierpliwiał się cesarz.

— Jak niegdyś Kserkses, Persów król, łańcuchami cię ćwiczył, o morze, ja, który byłem panem świata, który będę panem świata, z armat w twą głęb przeklętą strzelać każę!...

Lecz morze nie raczyło odpowiedzieć, tylko ogrom jego zalał oczy cesarza.

I cesarz umilkł.

Zmrok zmienił się w mrok, a w mroku ukazał się księżyc, złoty i olbrzymi, i świat cały naokół stanął w czarze jego świata, podobny do snu w kryształce sza-

firowym i srebrnym rżniętego, snu o świecie. Oczy cesarza napróżno szukały rzeczywistości, rzeczywistości, w której żył. Wszystko znikło. Miasto i port i drzewa nad portem i okręty naokół i to, co było na pokładzie, i pokład sam. Wśród niesłychanej przezroczyściej ciszy wszystko stało się snem. Napróżno cesarz myśl swoją w dłonie przywykłe do końskich cugli chwycił i jakby balon wzdęty i uciekający w górę chciał ku ziemi ściągnąć i o ziemię nią uderzyć — — myśl silniejsza nad dłonie cesarskie uciekła z ziemi. Napróżno cesarz chciał ją obudzić, powołać do przytomności. Zatopiona w śnie, stała się ponadżyjąca. Zestroiła się ze złotym olbrzymim księżycem i z kryształem świata rżniętym w kryształce ze szafiru i srebra, ze snem.

Cesarz uległ.

W głowę jego poczęła wnikać cisza nocna, cisza przejrzysta, lotna i wiewna, jak mgła poranna, ale nieruchoma, jak czyste niebo nad wysokimi szczytami.

Uległ.

Czuł, że wnika w nierzeczywistość, czuł, że jak ów rycerz legendy, który powoli kamieniał, patrząc w zwierciadło, gdzie odbity był obraz najpiękniejszej z kobiet, on powoli przestawał być sobą, człowiekiem.

Zalim jest snem? — zapytał...

Oczy jego widzieć poczęły w mroku, jak we dnie. Widział gród na dalekiej, o mil tysiące oddalonej skale, gród jasny dziwnym światłem, nie słonecznym, ale jakoby stokroć odbitem od lodów miesięcznym światłem. a że gród był złoty, lśnił i jaśniał w przestrzeni. Wieże ostrogielne wsmugiwały się w górę lśniącej zło-

ciście, potężne, wielkie mury i bramy promieniały, jak cud.

Wydało mu się, że ktoś szepnął poza nim:

— Płyn!...

odwrócił myśl.

— To ty, wicherze-bracie? — zapytał.

Lecz nikt już nie odpowiedział.

Cesarz pytał:

— Jestto gród chwały, gród czynów, gród wielkości?... Słuchał, czekał, lecz nikt nie odpowiadał.

Zjawisko zaś trwało w przestrzeni. Dalekie, tysiące mil odległe, a oczu bliskie. Żywe a nieistotne. Będące — a sen...

— Tak — rzekł cesarz do swej duszy — oto jest mój gród.

Lecz to jest gród mojego żywota, czy mojej pamięci?

Jest to dom panowania mej ręki, czy dom pasowania mego ducha?

Jest to gród mój, czy gród mojego nieistnienia?

I znów usłyszał za sobą szeptem wyrzeczone:

— Płyn!....

Cesarz rzucił się w przestwór. Rzucił się w mrok powietrzny, który stał się morzem i w mrok morza, które stało się atmosferą — wiosła w jego dłoniach. pruje toń świata, płynie.

Cicho, bez szelestu, wznoszą się wiosła i opadają. Płynie szybko i potężnie.

Brat-wicher pomaga mu. Wzniósł na łodzi maszt, rozpiął żagiel, dmie. Lecz mimo że cesarz mil tysiące

za jednym uderzeniem wiosel przepływa, gród jaśniejący jest wciąż i tak samo daleki.

I znów silnemi ramiony wiosła w mrok przestworu zagłębia. Łódź mknie tak szybko, że żadna z gwiazd spadających nie mogłaby jej dognać — lecz droga jest zawsze ta sama.

Więc płynie w wieczność...

Naówczas cesarz odłożył wiosła. Spokojnie i majestatycznie łódź stanęła w przestrzeni. Cesarz nie zwraca głowy, lecz wie, że poza nim jest ziemia, równie daleko już, jak gród przed nim. Czuje się w toni wieczności. Oto jestem panem bez granic...

Lecz cyt!

Słychać bęben — — bęben wojenny... Warczy ich więcej, coraz więcej... Rozlega się głuchy apel bębnów, krytych czarnym sukmem, potem milkną, a on słyszy, jakby swój własny głos:

....,Imię de Latour d'Auvergne'a, pierwszego grenadjera Francji, będzie wymieniane podczas wszystkich apelów, a kapral oddziału, do którego należało. odpowiadać będzie: padł na polu chwały!..."

Noc i kraj zlewają się w jedno...

On, armja cała, ludzie, konie, armaty, wozy, wszystko graży się coraz głębiej w tę noc-ziemię, czy ziemie-noc. Głusza nieprzerwana otacza sobą jego ludzi, konie, armaty, wozy — — niema granicy, ani kresu... Dalej, dalej, dalej...

Cała jego dusza nurza się w tym spokoju. Po wszystkich swoich bitwach, wojnach, dojeżdża do jakiegoś kresu, do jakiejś wyspy szczęśliwej. Gdzieś daleko je-

go syn mały, cudny, z oczyma i twarzą anioła, świecił się tak, jak ogień błędny... Naokoło wojsko, armja, marszałkowie, generałowie, żołnierze, markietanki... Maszerują w niewypowiedziany spokój...

Szum fal doszedł go...

To Niemen... granica rosyjska...

Lecz w tej chwili wydało mu się, jakby grunt usunął się pod nogami jego konia.

Pochylił się gwałtownie naprzód i przez łeb konia, który się potknął, przeleciał i runął na piasek.

Głos jakiś zawołał w ciemności:

— Zła wróżba! Rzymianin by się cofnął.

Zerwał się, wsiadł napowrót. Uderzył szpicrutą konia i zapytał:

— Kto to zawołał?

Nikt nie odpowiedział.

— Któż zawołał?!...

W tej chwili morze poczęło szumieć.

* * *

L'Inconstant płynął.

Płynął samotnie. Brat-wicher poruszył morze.

— Cesarz, trzeźwy i rzeźwy, stał na mostku komendanta, wsparty o balustradę. Sen rozwiął się, jakby go nie było. Radosny, ostry prąd powietrza, bijąc w twarz i oczy, przesyczał mózg cesarza energją życia. Płynął...

Płynął, mimo że majaczyły wé wschodzie dnia królewskie okręty wojenne francuskie.

Flaga wyspy Elby wznosiła się nad okrętem cesarskim. W jasne już rano wojenny bryg „Zéphyr“ krzyżo-

wał się z „l'Intonstant“. Cesarz kazał płynąć naprzód. Gdy byli nieopodal, kazał wziąć tubę porucznikowi Taillade i wołać, co podszeptował:

— Dokąd jedziecie?

Odpowiedziano:

— Do Livorna! A wy?

— Do Genui. Wieziecie co?

— Nic. A jak się miewa wielki człowiek?

Wyrwał tubę z rąk porucznika Taillade i krzyknął, co miał sił, z pauperskim wyrazem oczu:

— Nadzwyczajnie!

Zéphyr popłynął dalej.

Cesarz zatarł ręce i roześmiał się.

— Poczciwiec przywykł do mojej flagi na pełnym morzu. Byłem przecież cesarzem Elby... Jak się miewa „wielki człowiek?“ Świetnie! Płynie do Francji i kłania się panu, panie komendancie Zefira, kapitanie Andrieux!

Zdjął kapelusz i machnął nim w powietrzu w stronę królewskiego brygu.

— Możesz być pewnym dziesięciu tysięcy franków dożywocia, oprócz pensji, kapitanie Andrieux; Niech tylko Paryż zdobędę!

Porucznik Taillade spojrział nań zdumiony.

— Tak, tak, młodzieńcze, tylko Paryż zdobędę — powtórzył cesarz, klepiąc dłonią po ramieniu porucznika.

— Wasza cesarska mość mnie ośmiela — odezwał się Taillade — Paryż —

— Tak, tak! Zdobędziemy!

— Armatami?

— Idzie tylko o armaty. Naprzód musimy zdobyć armaty.

Spostrzegając przerażony wzrok porucznika utkwionym w siebie, roześmiał się znowu i dodał:

— Bądź pan spokojny, panie Taillade. Strzelałem z armat w Paryżu, do Paryża nie będę. Bądź spokojny, i ty i twoi koledzy. Paryż otworzy nam bramy. Jeść mi się chce. Zdaj komendę Michaud'owi. Chodź. Każemy sobie dać czekoladę i omlęt „aux fines herbes”. Zażyj. Orzeźwia rano. Słowo, że nie powtórzysz nikomu, co ci mówiłem.

— Podług rozkazu, sire.

Cesarz wyjął tabakierkę z tylnej kieszeni szarego płaszcza, zażył, podał porucznikowi i począł schodzić po schodach nadół, mrużąc:

— Niech tylko mam armaty. Wtedy będziemy mówili, do czego będę strzelał, a do czego nie będę, młody człowieku...

Lecz po chwili zamyślił się:

— Nie będę strzelał do niczego, nie będę potrzebował. Przecież czekają na mnie... Czekają i jestem pewny...

Nazajutrz rano znów wynięto szczęśliwie wojenny okręt francuski. Cesarz klasnął w ręce, gdy okręt oddalał się i począł ginać z oczu. Radość napełniła jego duszę. Prawda, że morze stanęło nieruchome, gdy chciał od płynąć z Elby, lecz potem drugi raz już tak szczęśliwe wyminięcie niebezpieczeństwa! Szczęście uśmiechało się dwa razy. Uśmiech morza Śródziemne-

go między Afryką a Europą dał mu koronę; uśmiech tego morza między Elbą a Francją mu ją przywróci...

Będę miał pewne trudności — myślał — dlatego morze stawiało opozycję, ale potem zwyciężę...

Nie będę się krył — dodał w myśli — powiem wszystkim, dokąd płyniemy i poco... Wszyscy są właśnie pod wrażeniem ominiętego okrętu Bourbonów...

Zbliżył się ku grupie starszych oficerów, wołając zdaleka wesoło:

— He! Dzień dobry! Powiodło się nam, co? Drugi raz! Mamy szczęście, jak pod Austerlitz!

Oficerowie poprostowali się przed nim, milcząc.

Cesarz śmiał się szczerze i jasno.

— Dokąd wy też płyniecie, moi panowie? — zagadnął.

Milczeli, patrząc mu w twarz.

— Niema tu gdzie Taillade'a?

— Schodził nadół.

— Aha! Moi panowie, my, poważni oficerowie cesarstwa, nie wiemy, a młody poruczniczek, imci pan Taillade, podobno wie. Hej! Wołać tam porucznika Taillade!

Któryś majtek skoczył i w moment stanął porucznik przed cesarzem.

Cesarz nastroił marsa.

— Mości poruczniku — zapytał surowo — dokąd to płyniemy?

Taillade zbladł.

— No — nalegał cesarz — patrząc mu groźnie w oczy — dokąd? Pan podobno wiesz?

Taillade struchlał. Czyżby się wygadał? Nie! Na jawie nie.

— Chyba przez sen, najjaśniejszy panie — bąknął. — Mam wspólną kajutę z Binet'em.

Cesarz roześmiał się na całe gardło.

— Wygadałem się wczoraj przed tym oficerkiem, lecz dziś powiem wam głośno:

— Płyniemy do Tuilleryj!

Oficerom pozapałały się blaski w oczach i pokraśniały im twarze.

— Płyniemy do Francji — mówił Napoleon. — Historja nie zna podobnego przykładu. Jak świat światem nikt na nic podobnego się nie ważył! Panowie! — mówił, poważniejąc coraz bardziej. — W Egipcie patrzyła na nas z Piramid czterdzieści wieków przeszłości, lecz dziś patrzy na nas przyszłość. Jak Achilles od namiotów odstraszył samym krzykiem Trojan, tak my samem stąpieniem na ziemię Francji wystraszymy z niej wszystko, co nam jest przeciwne!

Wzniósł rękę nad głowę, jak mowca.

— Aut Caesar, aut nihil! Powiemy i my: veni, vidi, vici — jak nieraz już mówiliśmy w życiu.

Lecz nie wszyscy w otoczeniu rozentuzjzmowali się wiadomością. Byli tacy, których szalona wyprawa przejęła zimnym dreszczem. Spozrzegli to cesarz i głos brząający zmiarkowawszy, rozpoczął:

— Pozostać w Porto-Ferrajo było jeszcze niebezpieczniej, niż ruszyć ku Francji. Chciano mnie zamordować, uwieźć na ocean, były przekupione zbiry, które czyhały na mnie. Zresztą w Paryżu jest rewolucja.

Mnóstwo pułków zwróciło się do mnie przez tajne piśma. Króla Ludwika już niema w Paryżu...

Tak, tak, — mówił kończąc kłamstwa naprędecie kute — dojdę do Paryża bez wystrzału.

— Bez wystrzału, panowie. Rozważyłem wszystko; jak zawsze. Nim zdecydowałem się, zostałem zapewniony.

Skinął dłonią na pożegnanie i podniósł lunetę, którą trzymał w ręce, do oka, aby zasłonić twarz. Czuł, że wyraz jego twarzy staje się dziwny. Przestał mówić, bo usłyszał, że głos jego przestaje być szczerym i prostodusznym. Coś nagle zastygło w nim. Lecz był sobą. Zeszedł z pokładu do kajuty i począł dyktować adjuntatowi proklamację do Ludu i do Armji. Tak chciał. Tak stać się musiało.

Tak powinien był czynić, będąc tym, kim był. Lecz zamiast wielkich słów znajdował wielki patos, zamiast wielkich myśli, ich imitację.

1-go marca 1815-go roku stanął w zatoce Juan, nieopodal miasteczka Cannes, na ziemi francuskiej. Wyskoczywszy z łódki, wyjął szpadę i końcem dotknął tej ziemi. Brał ją w posiadanie.

Ruszone.

Gromadka ludzi, szwoleżerowie polscy z siodłami na barkach, złoty orzeł napoleoński nad nimi.

Księżę Monaco, jadąc powozem wzdłuż wybrzeży, spotkał pochód i zdumiał się, zdumiał się tak, że oczy przetań i przeżegnał się.

Czy widma? Upiory?

— Dokąd pan jedzie? — zapytał go cesarz, który szedł piechotą na czele orszaku.

— Do siebie — odpowiedział książę Monaco. oczom swym własnym i uszom nie mogąc uwierzyć. wstrząśnięty do głębi jestestwa, przerażony.

— Do siebie? Ja również — rzekł Napoleon, żegnając go lekkim ukłonem kapelusza.

Szedł i zdobywał... Zdobywał na nowo Francję, panowanie sobie i swemu synowi. Od morza przez Alpy. Od wsi do wsi, od miasta do miasta, wśród powitań i groźb, wśród posepnego milczenia i hałasów radości. pierśią własną zniżając do swych stóp lufy karabinów i widząc do swych stóp przynoszone bramy miast, z żelaznych zawiasów wychwiane, zamiast kluczków miejskich, — szedł, biorąc twierdze dlatego tylko, że się ku nim zbliżył, dezorganizując bataljony królewskie. wysłane, aby go chwycić, „wyjętego z pod praw“, „zdrajcę i buntownika“, samem echem swego imienia uginając przed sobą wodzów królewskich i własnych marszałków, którzy go odstąpili i którzy przeciw niemu biegli na czele królewskich wojsk — — aby „dzikie zwierzę w żelaznej klatce do Paryża przywieźć“ a potem zdradzić musieli przed nim — — szedł tak, jak płynie łoś rzeką, przeskakując tamy i jazy, gwałcąc szalone prądy, jak płynie rzeka od źródła, coraz dalej i dalej, rosnąc, szerząc się, głębiąc, aż z rwącego strumienia z gór roztoczy się wielkie, wspaniałe jezioro —

Napoleon Wielki stanął w Paryżu.

Lecz nie wszedł do swego pałacu, Tuilleryj.

Nie wytrzymał parcia tysięcy jeźdźców, który ota-

czał wiozący go pojazd z Fontainebleau do stolicy. Tłum oszalały wieścią rozepchnął konie kawalerzystów. Otwarto drzwiczki powozu. Wyrwany zeń, podjęty na ramiona, z ramion ramionom podawany, wśród wycia: „vive l'empereur!“ płynął nad falą głów ludzkich nieprzytomny prawie, jak w śnie... zdużą go w westybiulu! „Na miłość Boską!“ — krzyczy wielki koniuszy Caulaincourt do olbrzymiego generała Lavalette. — „Na miłość Boską! Umieść się pan przed nim!...“ Lavalette obraca się doń frontem — plecami, jak ławą szereka, pcha tłum, cofając się chroni go od nacisku, a powtarza jak dziecko: „To ty! to ty! to ty!“

Lecz on nie słyszy. Widzi przed sobą olbrzymią postać generała Lavallette'a, lecz nie pamięta go... On idzie jak we śnie... Oczy jego toną w mgłę pełnej gwiazd, sianej gwiazdami; w uszach szum morza... Jakaś potężna fala ponosi go, niesie — — naokół pełno gwiazd, w uszach szum morza... Pada na fotel w swym dawnym gabinecie cesarskim... Pada bezwładnie, bezwiednie, jak muszla żyjąca z głębi na trawę rzucona... Jeden moment jego życia zginął... Nie był człowiekiem — — był żyjącem jestestwem...

Pierwszą myślą jego jest:

dzień 20-ty marca 1815-go roku...

drugą: mój syn!...

* * *

I oto jest znów w swoim gabinecie w Tuilleryjach. U drzwi stoi trabant z halabardą i szpadą. Wszystko jest po dawnemu. Dawni ministrowie, dawni marszał-

kowie Francji, dygnitarze dworscy, damy pałacowe.
dawna służba — wszystko...

Sufit ten sam — — i posadzka ta sama...

Lecz wszystko wydaje się jakieś dziwnie chwiejne...

Ściany jakoby się gięły wtył i naprzód, sufit jakoby kołysał się, posadzka zdaje się wisieć w powietrzu, nie być opartą na murach...

Jest znowu w Tuillerjach...

— U siebie...

Wezoraj Ludwik XVIII Bourbon był tu także u siebie.

Rok temu on.

Przedtem znowu Ludwik XVIII.

Jak w kontredansie.

Monarchowie wprowadzają się i wyprowadzają jak pierwsi lepsi drobni urzędnicy, lub nauczyciele szkolni. Tylko ta jest różnica, że tamci zmieniają mieszkania cicho i dobrowolnie, a monarchowie wśród mniejszego lub większego trzasku i hałasu są wyrzucani wbrew intencji.

Ludwika XVI-go wyrzucono z Tuilleryj aż pod gilotynę...

Wraz z Marją Antoniną...

Austrzaczki nie przynoszą szczęścia panującym francuskim...

Rzucił oczyma w zwierciadło.

Ludwik XVIII, czy ja?

On.

Zapewne rok temu pytał się tak samo Ludwik XVIII:

Bonaparte, czy ja?

Grzeczne zwierciadło — odbija zawsze tego, kto się w niem przegląda.

Grzeczne zwierciadło...

Zimna, jasna, kryształna powierzchnia — — spokojna, jak morze pod Porto-Ferraio w dzień odpłynięcia z wyspy Elby...

Podłe zwierciadło odbija tak samo luzujących się monarchów, jak odbiłoby wypięty tył przekupki na swoją przeciwniczkę.

I jej przeciwniczki także...

Straszliwa karykatura maluje się w mózgu Napoleona. Ludwik XVIII i Napoleon Wielki...

Porywa go wściekłość. Zdartym z palca pierścieniem rzuca z całej siły w zwierciadło.

Lecz pierścień dźwięczy, odbija się, upada i toczy pod fotel.

Napoleon porywa się z fotelu.

Dość! Aby mu się nie zdawało więcej, że się ściany, posadzki i sufit chwieją; trzeba być ich panem. Jak był! Jak będzie!

Zadzwoił.

Drzwi się otwarły. Pojawiły się mundury cesarstwa.

— Czy ministrowie cesarstwa są obecni?

— Nie wszyscy, najjaśniejszy panie.

— Sprowadzić!

W nocy utworzył rząd, choć niekompletny. Lecz trzeba było walczyć, lecz trzeba było namawiać, prosić. Molé nie chciał objąć teki sprawiedliwości, Davout wojny, Caulaincourt, wierny, przywiązany, doświad-

ezony Caulaincourt nie chciał objąć teki ministra spraw zewnętrznych!

— Na polu walki będę służył waszej cesarskiej mości — mówił.

Więc znów wojna?... Znów ją widzę wiszącą w powietrzu, nadeciągającą?...

— Wojny nie będzie — mówił cesarz.

Caulaincourt milczy.

— Caulaincourt — mówi cesarz, — jest przysłowie, że kto czem wojuje, ten od tego ginie. Znadto ze mną chcą wojny — — zapłacą za to...

Caulaincourt milczy.

Savary nie chce być ministrem policji — zostaje nim Fouché, wśród podłych zalecań się, pochlebstw i kłamstw, któremi nie oszukuje cesarza. Lavalette nie chce być ministrem spraw wewnętrznych.

Czy ci ludzie widzieli chwiejące się koło mnie ściany, sufit nad moją głową i posadzkę pod mojami nogami? — myśli cesarz.

Carnot, wielki Carnot, wielki Francuz i wielki republikanin, zostanie ministrem spraw wewnętrznych i hrabią cesarstwa. Carnot przyjmuje tekę, ponieważ w takiej chwili niczego cesarzowi odmówić nie wolno — tytuł, ponieważ dyskredytować tytułów cesarstwa nie wolno. Carnot widzi ogrom niebezpieczeństwa nad ojczyznę.

Ministerjum powstało. Lecz pierwsza odmowa postawiła cesarza na miejscu. Zrozumiał. Gdy Mollieu, upatrzony na ministra skarbu, za trzecim dopiero wezwaniem stawiał się przed obliczem pańskim, a stawiw-

szy się, na propozycję objęcia ministerstwa udał, że jej nie słyszy i począł się unosić nad cudownym powrotem z Elby — cesarz odpowiedział, panując nad sobą, spokojnie:

— Mój drogi, epoka komplementów minęła. Nie broniono mi wrócić, jak i nie broniono mi uciekać.

Cesarz rozumiał. Nietylko epoka komplementów minęła, ale i epoka triumfalnego, apodyktycznego, absolutnego, dyktatorskiego panowania. Nowa konstytucja, liberalna, miała być tym cementem, który przeskodzić miał chwianiu się sufitu nad głową i posadzką pod nogami.

Na południu Francji wrzała wojna domowa; posłów jego, z wiadomościami o ponownem panowaniu i aspiracjach pokojowych, monarchowie europejscy kazali zatrzymać na granicach; nawet korespondencję prywatną i dzienniki francuskie zatrzymano. Cesarstwo Napoleona stało się obozem zadżumionych, za kordonem; cesarz, „jako wróg i wichrzyciel pokoju światowego, poddał się sam zemście i powinien być być ściganym jak zbrodniarz“. Mąż arcyksiężniczki austriackiej, Marji Ludwiki, był „vcgelfrei“.

Gdy oficjalnych zawiadomicieli o panowaniu Napoleona Pierwszego nie przyjęto, ruszyli tajni. Aresztowano ich i nie słuchano. Castlereagh doniósł Caulaincourtowi, że księżę regent odmówił przyjęcia listu do siebie adresowanego. Listu z podpisem: Napoleon.

Austrjacki Metternich, rosyjski kanclerz Nesselrode odepchnęli myśl o powtórny panowaniu Bonapartego.

Pod oknami zaś Tuillerjów, mimo czujności policji, brzmiała piosenka:

Ah! non, ça ne prend pas,
Nicolas!...¹

Pod oknami zaś Tuillerjów powtarzano sobie rze-kome słowa cara: „Paryżanie! wydacie nam tego Ka-nibala umarłego, czy żywego, albo wasze miasto zosta-nie zmiecione z powierzchni ziemi. Będzie się mówiło: tu był Paryż...“

Z salonu księżnej Klementyny Choiseul wybiegały na Paryż karykatury kawalera de Cléry, który je tam specjalnie lubił rysować na perfumowanych éwiartkach papieru, podsuwanych mu przez samą księżną, gdy ca-łe towarzystwo słuchało cudownej gry na szpincie margrabiego de Mun i gdy młoda hrabianka de La Rochejaquelein, kuzynka bohaterskiego, podobnego do pioruna, wodza rojalistów, markiza de La Rochejaque-lein, wachlowała lekko głowę młodego artysty.

Tam książę-regent angielski, car Aleksander, ce-sarz Franciszek i król Fryderyk Wilhelm, trzymając się pod ręce, z dłońmi w kieszeniach, śmiali się na całe gardło, ustawieni za rzeczką, gdy naprzeciw nich, z drugiej strony, mały, gruby, pękaty Bonaparte w ko-ronie na głowie i płaszczu gronostajowym, nachylony w ukłonie, na końcu berła usiłował im podać bilet:

NAPOLEON I

(L'empereur malgré tout le monde).

¹ Przeciwnicy Napoleona twierdzili, że do tego stopnia wszystko w nim jest kłamstwem, że nawet imię jego nie jest Napoleon, ale Nicolas (Mikołaj).

Parę takich biletów, które widać spadły z końca berła, unosiła już woda.

Inny rysunek przedstawiał familję królowych na kupie tłumoków, rondli, garnków, szaflików, naładowa-nych na wysoki wóz włoski o dwóch kołach, zaprze-żony w osła — powoził ex-król westfalski, Hieronim, z bębmem na brzuchu, prowadził pudła, na którym je-chała małpa, podczas gdy Ludwik Bonaparte toczył ogrodowe taczki z kalafjorami. Pod spodem napis:

Do Paryża!

Z pod ołówka pana da Cléry wybiegł z kolei Lud-wik XVIII, z obrzydzeniem cofający się od stołu przy obiedzie, gdzie z bukietu wychylał głowę mały Bona-parté. Ludwik XVIII wołał do kozaka z serwetą na ra-mieniu, stojącego za jego krzesłem:

— Znów ten fiolek! Wyrzuć go!

— Zaraz, najjaśniejszy panie! — odpowiadał kozak.

Rysunek „M a d a m e M è r e“ przedstawiał babę w korsykańskiej tualecie i koronie na głowie, zamiata-jącą miotłą izbę i mówiącą do kozłęcia, które po izbie chodziło:

— Gdy Cezar znów powróci...

Dalej narysował kawaler de Cléry wielką kadz, na której krawędzi siedzieli kołem regent angielski, car, cesarz austriacki i król pruski, paląc fajki, a na której wierzchniej pokrywie Ludwik XVIII, siedząc przy sto-liku, jadł szparagi, trzymając nogę na czarnym stoso-wanym kapeluszu. Na kadzi był napis:

Nareszcie!

— On jest tam? — zapytała hrabianka de La Ro-

chejaquelein, patrząc na pana de Cléry cudownemi ze szarego oceanu oczyma.

— Zamknięty. Jak serce pani — odpowiedział piękny kawaler.

— Otwórz pan! — rzekła panna de La Rochejaquelein, uderzając się w najswawolniejszy sposób wachlarzem i cała czerwona od rumieńca, który ją mimowoli oblał, cofnęła się ze śmiechem od stołu.

Krótką tę scenę zauważyła jej ciotka, stara księżna de Ligno i szepnęła do swojej przyjaciółki, obok siedzącej, pani de Vitrolles:

— Czy uważałaś? Nasze panny stają się podobne do kucharek. Bo można więcej niż wszystko — byle w dobrym tonie.

— Sama obecność pana Bounapartego na tronie musi psuć dobry ton — rzekła pani de Vitrolles. — Nawet u nas...

Tymczasem Bonaparte گیاł się i łamał wewnątrznie. Dyktator musiał się stać dyplomata, imperator monarchą konstytucyjnym. Łamał się i wybuchał zduszając swoje ja i to ja przygniatało na przemiany jego samego. „Moja wola jest wolą ludu, moje prawa są jego prawami — mówił, kłamiąc, gardząc i nienawidząc. Stokroć więcej dziś, niż kiedykolwiek! Bo do czegoż zmuszał go ten lud przez swoją właśnie wolę, przez swoje prawa. Motorem władzy nie była już ambicja, energia, rozkaz — motorem była konieczność kookietowania narodu, który przestał wierzyć w boga, a który żądał od człowieka, po straceniu go z pie-

destału boskości. wszystkiego, dla czego tego człowieka uczynił bogiem.

On zaś — „jako cesarz, konsul, żołnierz, wszystko otrzymał od ludu...“

„W szczęściu i nieszczęściu, na polu bitwy, w radzie, na tronie, na wygnaniu“ nie nie było mu świętem, tylko naród... Tak przysięgał.

Naród, lud przysięgał mu zaś w słowach pełnych godności wszystko w razie potrzeby, za cenę niepodległości nazewnątrz granic i wolności wewnętrznej.

Zobowiązał się — on, który pogardzał nią i nienawidził wolności ludowej, choć się słaWił synem rewolucji, cesarzem ludu.

A wszystko było kłamstwem. Nietylko on kłamał narodowi — i naród nie był szczery. Sufit, posadzka i ściany chwiały się. Uroczystość Majową odbył z pompą Ludwika XIV w otoczeniu pięćdziesięciu tysięcy bagnietów. Nie w kostjumie z pod Austerlitz, ale w kostjumie królów z opery, wśród braci swych w kostjumach królów z farsy. We wszystkim był fałszywy ton. — „Te Deum“ grzmiało we Francji, gdy w Anglii i w Niemczech grzmiały bębny wojenne, w Hiszpanji, Austrii, Rosji, Włoszech grzmiał okrzyk:

„precz!“

gdy cesarz ów prezentujący się ludowi na Uroczystości Majowej w tunice i w czerwonym płaszczu hiszpańskim, w białych pończochach, majtkach z białego atlasu, w pantoflach z kokardami i kapeluszu z czerwonego aksamitu z białemi piórami, nie jak wódz setnych



bitew, ale jak płatny aktor — wyjęty był z pod praw! niżej stawiony niż żebrak!

Kongres wiedeński zerwał się. Nad głową Napoleona powiały sztandary wojenne, a chwiejne okrzyki: „vive l'empereur!” — głużył tłumny głos Europy: „p r e c z !”

Genjusz Bonapartego zdawał sobie jasno sprawę z sytuacji, z precyzją jubilera, który nieoszacowany diament szlifuje.

Nieoszacowany diament — życie jego własne, największego z ludzi, którym się czuł, i życie jego dziecka. któremu dał tak wiele, że obowiązany był wszystko.

Jedna jedyna głowa przesuwiała mu się w wyobraźni i pamięci.

Są przecież jakieś związki rodzinne, jakieś wzajemne stosunki ludzi związanych węzłem rodziny, są jakieś przywileje takich związków. Cesarz Franciszek austriacki wszakże jest jego teściem, jego żony ojcem, jego syna dziadkiem. Nie może być, nie jest prawdopodobnem, aby chciał, aby mógł deptać te uczucia. te oblige życiowe. Nie jest przypuszczalnym.

Ważyc zaczął rachunek możliwości i rachunek prawdopodobieństwa.

Rachunek ten zawiódł niejednokrotnie; zawiódł najstraszniej, do katastrofy pod Saint-Disier...

Jednak — — ojciec, dziad — choćby nie teść.

Jakaś chytra, brzydka treść poczęła przenikać duszę Napoleona.

Otrząsał się. Dusił ją i dławił w sobie. Wydobywała się przecież na wierzch. Czuł, że się wydobędzie. Wal-

czył z nią tylko dla pozoru przed samym sobą, dla jakiegoś własnego zadośćuczynienia względem pojęcia o samym sobie. Bo gdyby była szczerą, pierwszą, dominującą, ale nie jest nią.

Kochał swego syna, kochał nad życie własne i nad wszystko na świecie. Jego syn był jedyną miłością, jedynym uczuciem, jedynym afektem jego życia. Przecież nie o nim myślał w pierwszym rządzie, myślał przedewszystkiem o sobie...

Tak jest.

Egoizm brał górę. Pycha, o siebie samego strach, ambicja, żądza i zwyczaj władzy wydobywały się z pod pokrywy dbałości o dziecko, jak gady z pod różanych liści. Umoczył pióro i począł pisać:

...,Moje wysiłki mają na celu jedynie ustalenie tego tronu i przekazanie go pewnego dnia, umocowanego na niewzruszonych fundamentach, dziecku, które Wasza Cesarska Mość otaczała swą ojcowską dobrocią. Ponieważ trwałość pokoju jest zasadniczo konieczną do osiągnięcia tego świętego celu, nic mi tak nie leży na sercu, jak utrzymanie go ze wszystkimi mocarstwami, ale przykładam wyjątkową wagę do utrzymania go z Waszą Cesarską Mością... Pragnę, aby cesarzowa przybyła przez Strasburg... Znadto dobrze znam usposobienie Waszej Cesarskiej Mości, aby nie żywić tego radosnego przeświadczenia, że jakiegokolwiek będą zresztą jej cele polityczne, Wasza Cesarska Mość pospieszy przybliżyć moment połączenia żony z mężem i syna z ojcem...”

Otarł pot z czoła, a godzina ta przypominała mu listy pisane do cara w Moskwie.

Bodajbym tam był zginął! — pomyślał.

Lecz przypomniało mu się sprzysiężenie Malleta. Pierwszy lepszy człowiek mógł zachwiać całym Cesarstwem, nikt nie pomyślał ani o cesarzowej, ani o następcy tronu. Prawdopodobnie w Paryżu byłiby przeszli nad nimi do porządku dziennego, nie tworząc regencji, nie myśląc o dynastji. Więc gdyby był zginął w Rosji, nie byłby oddał tem usługi synowi i Bonapartym...

Teraz zaś syn jemu ma oddać usługę. W polityczne rachuby, w dyplomatyczne sztuki wciąga to dziecko niewinne, za jego cenę chce kupić sobie spokój przynajmniej po stronie Austrii, bo o to, o to idzie mu teraz, o to jest gra w tym liście do dziadka! Handel wnukiem!

Uderzył pięścią w stół. Do czegoż doszedł! Do frymarki własnymi, jedynymi świętymi uczuciami!... On, pan niegdyś ludzkich głów i ludzkich serc, ludzkiej woli i doli...

Głęboki i bezdenny upadek...

Le déclin et la chute de Napoléon...

Dla człowieka takiego, jak on, nie może być ani zła, ani dobra, ani prawdy, ani kłamstwa, ani cnoty, ani zbrodni, co jest mu potrzebnem, bez względu na swą wartość etyczną nie może być podłem, bo jest potrzebnem, nie prawa są dla takich ludzi, lecz oni dla praw, dla siebie samych, tacy ludzie są dyktatorami świata, absolicję we wszystkim daje im ich cel, ich potęga, ich znaczenie w bycie — jest tylko jedno dla nich

prawo nieubłagane — jak Fatum dla Zeusa — prawo ich dzieci. Drapieżny orzeł obrywa z sierci, czy pierza swój łup, aby go dać piskletom — tak samo zbrodniarz nawet oplukuje z krzywdy ludzkiej swą duszę, chcąc jak czysty człowiek zbliżyć się do swych dzieci. Nie wolno kłamać dziecku, ani dzieckiem. Napoleonie Wielki: czy list do Austrii piszesz w interesie syna, czy w tej chwili tylko i wyłącznie w swym własnym?!...

A jeżeli cesarz Franciszek odrzuci to pismo?...

Wtenczas skłamałeś imieniem swego dziecka za nic, napróżno! Próżne upokorzenie twej dumy, twej pychy, twego egoizmu jest wtenczas niczem!

Dusza cesarska raduje się. To ostatnie poczucie przynosi mu ulgę. Nie jest jeszcze upadłym do szczętu, jeżeli to ostatnie uczucie może czuć...

I otóż nadszedł dzień. Cesarz kopnął Paryż, wstąpił mu zawsze miasto, gdzie „inteligencja“ kawiarni drwiła z jego porywów, „subtelność“ i „rafinerja“ impotentjalnych analityków czepiała się, jak wesz psiego ogona, słabych stron jego duszy i jego dzieła, niezdolność zrozumienia i pojęcia rodziła ku niemu nienawiść. odmienność jego natury była źródłem płaskiego dowcipu, gdzie poufalenie się z jego istotą wypelzało, jak ślizgi wąż z nory i opełzało go, gdy tylko się zachwiał, gdzie każdy pamflet i każdy paszkwil budził wesolość i zadowolenie.

Na Place du Carrousel pułk dragonów gwardji w granatowych mundurach i czerwonych spodniach, z wiejącymi czarnymi ogonami końskimi z wysokich hełmów, dobył szabel błyszczących na jego widok

i wznosił je w górę, krzycząc: niech żyje cesarz! — pierwszy szereg pułku dragonów linjowych podczas inspekcji wedle narady w koszarach wykonał nagle pół obrotu i z drugim szeregiem skrzyżował szable nad jego głową, dach stali ostrej i świetlistej, pod którą głowa jego zaświeciła, jak gwiazda wśród promieni. Więc darmo generałowie i marszałkowie Francji wątpią, napróżno z niechęcią wypełniają rozkazy, próżno wróżą rychły koniec i rychły upadek i nie chcą nowej, nie chcą więcej wojny, nie chcą cesarza — — wojsko ubóstwia go, żołnierze i oficerowie, wojsko weń wierzy, wojsko chce walczyć z nim i za niego, zmusi swych wodzów iść i walczyć, wojsko powiedzie wodzów, nie wodzowie wojsko. Jakieś dorywcze, mgliste porównanie z Chrystusem przemknęło przez myśl cesarza, gdy czuł tych wielkich i mądrych przeciw sobie, gdy widział tych małych i prostych wokół siebie, do siebie lgnących i zgarnionych.

Wcielony w „Szwadron wyspy Elby“, w „Szwadron Napoleona“, Zaremba siedział na roslym kasztanie, jako jeden z rotmistrzów ztytu poza pułkownikiem baronem Cesarstwa Jerzmanowskim, a nieopodal żołnierze Legji Nadwiślańskiej, znajdującej się we Francji, w ośmiuset ludzi prezentują broń, jako trzeci pułk cudzoziemskiej armji. Powstały orły i złote i srebrne. Drży Polska w dali. Jeżeli cesarz złamie świat, wyrwie Polskę z niewoli. Teraz nie może już inaczej być...

On zaś z pod świetlistego dachu szabel jedzie dalej, do tych regimentów, które dawały dwa, trzy i pięć dni

żołdu na potrzeby armji. Trąby poczynają dzwonić i muzyki grać:

„Cesarstwa w rękach dzierżmy straż“...

W oczach Napoleona błyska płomień pięćdziesięciu tysięcy pochodni w obozie w nocy przed Austerlitz. Koń jego depce z pogardą bruk miasta, które miało dlań szyderstwo i lekceważenie. Jest panem, jest sobą, jest konnym wodzem rycerzy, tem, na co się urodził, czem powinien być. Jakże blade, jakże nędzne, jak nikłe i niegodne pamięci są teraz te postacie, które mu się tłoczą przed oczy... Subtelni analitycy z kawiarni, impotencjonalni ironiści z trotuarów, mózgowcy z Benjaminem Constant na czele — — proch! Gdyby nawet padł ostatecznie, na zawsze — — czem jest on, czem oni!... Grom i deszcz...

Niesłychana pogarda napełnia duszę Napoleona. Musiano iść przeciw niemu, ponieważ był większy. Monarchowie Europy, arystokracje Europy, ludy Europy szli ławą. Zagiew płonąca trzymała Anglja i podpałała kontynent europejski. Ani wielki odżywczy ruch Europy w rewolucji francuskiej, ani wielki człowiek Europy Napoleon Bonaparte nie mogli rósć nad głowę Anglji. Ani w dziedzinie myśli, ani w dziedzinie siły nie mogło być nic potężniejszego, niż Anglja. Prawa Europy nie mogły być lepsze od jej praw, rozum Europy wyższy od jej rozumu, zdolność życia Europy większą od jej zdolności życia. Rozbiła i pogrzebała Stany Zjednoczone Europy środkowej pod berłem Napoleona, a gdy on na nowo powstał z martwych, aby mu zadać cios śmiertelny, rzuciła na kontynent armję, sypnąwszy złotem

na uzbrojenie armji czwórprzymierza, monarchij reakcyjnych.

Teraz był czas udowodnić swoją maksymę. „W epokach trudnych wielkie narody, zarówno jak wielcy ludzie, rozwijają całą energję swego charakteru i zdobywają podziw potomności“ — teraz był czas ostatni. W razie klęski nie groziło już cesarstwo Sanszo Pansy na Elbie, groziła zupełna zagłada. Tłum mniejszych m u s i a ł dążyć do zagłady. Wszystkie boje dotychczasowe były niczem — poczynął się bój śmiertelny, ostatni. Dlaczego nie chcą uwierzyć jego szczerym przysięgom, że chce żyć spokojnie, rzekłszy się wszystkich marzeń o podboju świata, dlaczego nie chcą mu pozwolić budować w pokoju domu dla syna i syna swego i szeregu głów nowej dynastji — —

ah Bounaparte.

musiałbyś stać się także o głowę mniejszym, niż byłeś!...

Wielkość się mści. Wielkość rzuca olbrzymi cień, cień zbyt wielki. Olbrzym nie może stać się zwykłym człowiekiem. Może być tylko gigantem lub trupem. Nawet powalony i związany olbrzym, dopóki jest żywy, w związanych członkach ma moc tę samą. Trzeba było głowę Samsona ściąć, aby nie odrosły mu włosy. Więc po głowę Samsona sięgają.

Anglja...

Już raz przed „człowiekiem Europy“ drżała ona w podstawach. Pod Trafalgarem zdruzgotowała niebezpieczeństwo. Lecz tam nie on sam dowodził, nie jego pokonał admirał Nelson. Nie jego też osobiście pędził

z Hiszpanji Wellington. Nigdy nie spotkał się sam przez się z tym wrogiem, który jak lont podziemny zapalał miny pod jego stopami. Jedyiny wróg godny, jedyiny wróg wielki wielkością swej dominacji i wielkością swej dumy — dwaj istotni, godni siebie, prawdziwi, przeciwnicy schodzą się nakoniec na arenie. Po raz pierwszy bagnet francuski pod jego własną komendą zadzwoni o bagnety Anglji. Po raz pierwszy on uchylił czarnej stosowanego kapelusza przed walką i oddał ukłon przedpojedynkowy. Największy naród i największy człowiek świata zetną się ze sobą.

Nie będzie czekał natarcia. Pchnie pierwszy, jak był zwykły, jak walił królów i narody. Wystąpi z ofensywą — —

o której jednak nie może powiedzieć, że go nie zawiodła nigdy...

Uczucie swej wyższości, uczucie, dlaczego sięgają po jego głowę, dlaczego go nie znoszą, dlaczego ma giąć: napelnia duszę jego niesłychaną pogardą — — lecz w duszy tej nie waży się obok uczucie wiary...

Bounaparte: czujesz to dobrze, że czuć swą wielkość, lecz nie czuć wiary w siebie, jest piekłem na ziemi...

Siłę daje powodzenie! Ono tylko daje odwagę. Pouczucie, że szczęście sprzyja, jest źródłem zuchwałości czynów. Nie śmieć to jest nie działać we właściwym momencie, a bez przekonania o szczęściu nie można śmieć. W niepowodzeniu słabnie i butwieje dusza i niczego się nie dokonywa.

Nie ma już wiary w swą gwiazdę — powiada, a mówiąc tak o sobie, czyni to z całą świadomością, że czyni

źle, czuje w tem właśnie pozwoleniu na wnikanie w siebie istnienia swojej słabości; czuje, że nie ma wiary w siebie, bo mówi o tem. Milczał przed zwycięstwami.

— Ah, ah! Nie jestem już człowiekiem Marenga i Austerlitzu — powtarza. — Nie mam już tego zdrowia i tych sił!...

Rzuca się w bój.

Znów ma przeciw sobie Schwartzenberga i Blüchera, dobrych znajomych, w tyle poza nimi groźnego, zwycięskiego cara Aleksandra — — lecz jak dzik, który w gąszczu za psami widzi myśliwego, psom kłami się ogania, a myśliwca ruch śledzi oczyma: tak on utkwiał źrenice w twarzy Wellingtona.

Napina łuk swego geniuszu: obejmuje olbrzymim kręgiem zdolność bojową swego i nieprzyjacielskiego wojska, warunki geograficzne, psychikę wodzów naczelnych, z którymi ma się potykać. Jeden z nich, Blücher, założył kwaterę w Namur, rozłożył się nad Meusą, jako podstawę operacji miał Ren; drugi Wellington kwaterę miał w Brukselli, rozłożył się nad Skaldą, podstawą operacji miał morze. Morze, które dwakroć podczas powrotu z Egiptu i ucieczki z Elby okazało się jego kochankiem, które pochłonęło w swej głębi jego klucz do zwyciężenia świata, pochłaniając w sobie jego zwycięstwo nad Anglią. Długie godziny nocne nasuwały mu ono na oczy swoją powierzchnię ciemną, posępną i swe wrażenie głębi, toni przepastnej, zatracenia...

Jak niegdyś oczyma sokoła ujrzał przestrzeń pomiędzy poszczególnymi korpusami arcyksięcia Karola pod Ratysboną i pobił je pojedynczo wówczas, gdy

najpierw jego wodzowie uważali położenie za katastrofę: tak teraz postanowił, zgniółszy piorunem Blüchera, runąć na samemu sobie pozostawionego Wellingtona, niweczając ich wspólne działanie i pomoc wzajemną.

Charleroi, Fleurus, Quatre-Bras, Ligny — piętnastego i szesnastego czerwca zwyciężał i druzgotał Prusaków, Belgów i Holendrów, lecz gdy marszałek Gruchy chciał ścigać i na proch zetrzeć ocalonego osobiście pod Ligny cudem i uchodzącego Blüchera, Napoleon, chory i wycieńczony, zasnął we Fleurus i nikt nie śmiał go zbudzić.

Na białej klaczy Désirée, ze szpierutą w rękę, w szarym płaszczu, przesiąkniętym od deszczowej wody, w kapeluszu z obwisłymi skrzydłami, cały obryzgan błotem, po butach, po czerwonym, szytym złotem czapraku, gnał od Quatre-Bras i Genappe, jak szalony, by osiągnąć czoło kolumn, by kierować ogniem na Anglików. Mógł być już zgnieść Wellingtona. Bezpośrednio po zwycięstwie pod Ligny. Wiedział to doskonale, że na tych pozycjach, gdyby nie nieumiejętność wyzyskania momentu przez Neyą i jego niepojęta, przeklęta bierność, gdyby nie własne niepojęte i przeklęte niewysłanie gwardji w pole... Tak, obejmował sytuację myślą, jak nie potrafiłby nikt w świecie — — nie napróżno był przecież pierwszym wodzem świata — — gdyby był pchnął o siódmej rano, punktualnie o siódmej rano, z Ligny na Quatre-Bras gwardje i korpus generała Mougton, Wellington miał Neyą z frontu, lewe skrzydło osaczone przez niego samego, woj-

sko nie rozwinięte na pozyjeji, odwrót na Genappe zagrożony — — gdyby go Ney był zmusił, gdyby on sam był wysłał gwardje i korpus Moutona o siódmej, punktualnie o siódmej rano — — Boże! Boże! przeklęta, niepojęta nieumiejętność wyzyskania momentu i bierność Neya, przeklęty, niepojęty błąd własny — wszystko to tak wie, tak widzi jasno — — któżby lepiej potrafił to ocenić, niż on — — nie byłoby już armji angielskiej, byłaby już zdruzgotana, zmiażdżona, podarta w strzępy, gdyby Wellington był przyjął walkę, lub pchnięcia w zgubny odwrót, równy pogromowi...

Każde uderzenie kopyta białej klaczy w grunt rozmiękły; każdy chlupot i bryzg błota wybija mu w mózgu jedną sylabę: obrazu zwycięstwa... sylabę po sylabie...

Dalej! Dalej! Gnaj, Désirée, strzało szybkonożna... Oto naumyślnie siadł na tego konia, aby być prędzej z powrotem w Paryżu, z wieścią o zwycięstwie — — wpada do izby prawodawczej, prosto z siodła, obłocony, z ostrogami i szpicrutą w rękę — — zwycięstwo! victoria! — — nowy absolutyzm! nowe władanie światem! druga era jedynowładztwa, większa, kolosalniejsza — — nowe: veni, vidi, vici — — nad najzaciętszym, najgroźniejszym, najwyższym z nieprzyjaciół...

Prędzej! Prędzej, biała Désirée!

Cesarz zagryza wargi, ściga on wymknięte z rąk zwycięstwo, ściga jego fantom — — lecz jakiś cień zastępuje mu drogę, cień potężniejszy, niż on, cień, w którym Désirée leci, jak w las — — zda się, że jest on tak wielki jak wieczność, objął go ra-

zem z białą klaczą, wchłonał, jak morze rybę — — cień, mrok — — nie przepędzą go kopyta najszybszego wyścigowca świata — —

co za zimno śmiertelne!!

czy nie czujesz, biała Désirée, czy nie drżysz?!...

Napoleon Buonaparte leci w przeznaczenie...

Wszystko zgasło...

Śmił się obraz zwycięstwa...

Niema wojsk naokoło, miejscowości Charleroi, Li-gny, Quatre-Bras, Genappe, wojsk angielskich, hollenderskich, belgijskich, pruskich, francuskich — —

Napoleon Buonaparte gna w otchłań — — na białym koniu leci — — może to już nie on żywy, żyjący — — może to już jego samego cień, także cień, własny...

Noc zapada na oczy cesarza...

„Trzeba chcieć żyć i umieć umrzeć... wyzywać śmierć i przeznaczenie...”

Przeznaczenie dawało mu w rękę zwycięstwo.

Gdy go z ręki przeznaczenia nie wziął...

W piekło gna z chlupotem błota szybkonożna Désirée...

Ogień przeszywa pierś cesarza-widma — — noc zakrywa jego wzrok — — życie zamarło w nim — — drgnął: armaty francuskie!

Zarył Désirée w błocie, już wydaje rozkazy, on bije Anglików, daje komendę działom: strzelać! strzelać! to są Anglicy!...

Kulami z dział goni za Anglikami. Każdy strzał porywa cząstkę jego duszy. Jak łowca wielorybów har-

punem dosięgnąć chce uchodzące zwierzę, on jak hakami harpunu chwycić chce, zatrzymać, przyciągnąć do siebie decydujące zwycięstwo, które mu uszło...

Noc kładzie kres tej gonitwie kulami z dział — —
o Buonaparte!
gonitwie daremnej...

Wieczorem zasiadł przy ogniu w dworku folwarku Caillon, małe pół mili od Belle-Alliance, w pustym dworku, którego gospodarz uciekł z rodziną. Mokry, bez rzeczy do zmiany, wyciągnął się na krześle przed ogniem. Schwytana kura, oskubana naprędce przez żołnierza, piekła się w kuchni; któryś z oficerów ofiarował cesarzowi butelkę wina.

Z założonemi rękoma na piersiach obsuszał się przy płomieniu, wyciągnawszy ku niemu buty, z głową skłonioną — —

układał plan — był przecież pierwszym wodzem świata...

Czuł się straszliwie sam — — jakieś drzewo samotne koło okna z wybitą szybą, chłostane wichrem i deszczem, jęczało szumiącemi gałęziami...

Nikt nie przerywa tej ciszy. Jakby tylko jedno Przeznaczenie znajdowało się tu razem z nim. Może to ono gra na gałęziach i w liściach tego klonu, czy jesionu za oknem, jak na harfie...

Wtem, ah! przecież — — dźwięk ostróg, brzęk szabli — ma swoich ludzi, ma kogoś przeciwko Przeznaczeniu, ma moc...

Wszedł generał kawalerji Milhaud.

— A! Milhaud! Co tam?

— Najjaśniejszy panie, podczas marszu z Marbais do Quatre-Bras moi ludzie rozpoznali kolumnę kawalerji pruskiej generała Tilly — melduje Milhaud.

Cesarz wyprostował się —

— Cofającą się na Wavre.

Wzrok wewnętrzny cesarza rozplómiął, jak latarnia morska, i oświetlił przestrzeń jego mózgu.

Skinął ręką i rzekł: — Dziękuję.

Milhaud salutował i oddalił się.

Natychmiast w głowie cesarza począł się toczyć rachunek prawdopodobieństwa i możliwości.

Blücher cofa się, albo na Namur, czy Maëstricht, albo idzie pod Bruksellę w przypuszczeniu, że spotka się tam z armją angielską. Nie jest prawdopodobnem, aby w trzydzieści sześć godzin po klęsce, mając następujących na siebie trzydzieści trzy tysiące Francuzów pod marszałkiem Grouchy, ryzykował marsz, wiodący go do nowej ofenzywy. Nie byłoby to zupełnie niemożliwym, ale nie jest przypuszczalnym...

Nieświadome, pozamyślowe jakieś drgnienie przeleciało mu przez mózg — — gdy on zachodził tyły sprzymierzonych pod Saint Disier, sprzymierzeni, wbrew wszelkiemu rachunkowi prawdopodobieństwa ruszyli przed siebie na Paryż...

Lecz drgnienie to trwało sekundę sekundy...

Nie chciał go zatrzymać i przysłuchać się jego brzmieniu...

Blücher idzie na Bruksellę — — jeżeli Wellington się cofnie z pod Mont-Saint-Jean i połączy z nim... Anglicy bez pomocy Prusaków zostaną pobici... Grouchy

ma za zadanie ścigać Prusaków, następować im na pięty... Dokona tego... Prusacy nie mogą stanowić w danej sytuacji niebezpieczeństwa... Grouchy nie dopuści do połączenia się ich z Wellingtonem... Gdyby to nastąpiło, byłby to fatalizm, byłaby to sprawa przeznaczenia... przeznaczenia...

Przeznaczenie...

Podobne ono jest do olbrzymiego cienia, do mroku, w którym nie widać nic — — nie jest to noc, gdyż noc jest już śmiercią, ale mrok nieprzejrzany...

Dziwny mrok wydawał się otaczać stale Désirée, gdy jechał na niej od Quatre-Bras i Genappe...

— Hej! Bertrand!

— Sire?

— Czy jest możliwe, że Grouchy wypuści Prusaków?

— Na wojnie wszystko jest możliwe.

— Ale nie można tego przypuścić, co?

Generał Bertrand wzruszył ramionami.

— Nie można, prawda?

— Zapewne — — marszałek wie, co ma robić.

— Tak, Grouchy odpowie zadaniu, musi odpowiedzieć. Niema ani jednej przyczyny, dla której mógłby nas zawieść. Instrukcja jego jest jasna i prosta. Ma zresztą z sobą tak dzielnego oficera, jak Gerard. Z pomiędzy młodszych generałów Gerard najprędzej zostanie marszałkiem. Grouchy odpowie zadaniu, chyba by losy spiknęły się na nas. Będzie ścigał Prusaków i mowy o tem niema, aby ich dopuścił do połączenia się z Wellingtonem. Zresztą Blücher nie idzie tu, pod Mont-

Saint-Jean, tylko najpewniej liczy, że Wellington się cofnie przede mną pod Bruksellę i że tam się spotkają.

Bertrand, pojedziesz ze mną na rekonessans. Chybaby sam djabeł sprawił, aby mi Wellington uciekł i cofnął się teraz pod Bruksellę. Ale djabeł bywa uprzejmy. Siły nasze są obecnie równe, ale my mamy o jakie sto armat więcej. Chodź, Bertrand, każ ognie podawać, zajrzemy w twarz, albo w ładownice...

Ot patrz, ruszyli się z obozowiska, chcą walki, będą ją mieli. Gdyby Prusacy przybyli im na pomoc, mogłoby z nami być ostatecznie krucho. Ale tak, jak jest i będzie, jestem pewny...

Ah, patrz: sztafeta. No! Grouchy donosi, że Prusacy zdają się iść dwiema kolumnami: na Liège i Wavre, kolumnę idącą na Wavre będzie ścigał i odgrodzi ją od Wellingtona. Jedyna rzecz, która nam dokucza, to deszcz, który raz wraz pada. Ziemia rozmięka. Rozmięka ona także pod Anglikami, ale my będziemy atakowali. Tak, my będziemy. Tego się tylko nauczyłem i to tylko umiem.

Gdybym zaczął teraz... Wprawdzie grunt jest rozmiękły...

...Buonaparte! dlaczegoż nie zaczynasz teraz? Przeszkadza ci błoto i deszcz! Nieprawda!

W 1807-ym większe widziałeś błota. Grzęzły nie tylko twoje armaty, ale grzęzli twoi żołnierze. Widziałeś błota i roztopy w 1812-ym — czy mniejsze były od tych? Pakowałeś się jednak w nie z półmilionową armją. W 1813-ym także widziałeś błota i deszcze w polu. W 1814-ym lgnęły ci armaty w śniegu miękkim

i topkim. Buonaparte! Dlaczego się wahasz? Dlaczego nie rozpoczynasz? dlaczego zwlekasz i odsuwasz godzinę?...

Ah! ah! Co za błysk zielonych oczu...

Dlaczego nie rozpoczynam?... Dlaczego się waham?... Dlaczego zwlekam i odsuwam godzinę?...

O kędyżes ty jest, wiaro! Wiaro w siebie, wiaro w zwycięstwo! Wszakże tych Anglików jest mniej nawet, niż Francuzów... Wszakże pod Quatre-Bras uciekali przed Francuzami. Wszak wszystko przemawia za zwycięstwem... Między armją pruską i armją angielską wbity jest klin francuski Grouchy'ego. Wellington pozostawiony sam sobie musi być pobity. Każde jego cofnięcie wskutek warunków terenu musi być pogromem.

Nie można przypuścić, aby taki wódz, jak Wellington i on w równych siłach, przy sprzyjających warunkach terenu dla Francuzów mogli inaczej rozegrać partję, jak tylko klęską angielską... Dlaczegoż więc odsuwam ogdzinę?...

I co paraliżowało mnie by zgnieść Anglików we właściwym czasie pod Quatre-Bras? Dlaczego i tam czas mi uszedł z rąk?...

Ah! kędyż jesteś, wiaro?! Kędyż jesteś wiaro pływaka, który z zuchwałem spojrzeniem, z wyzywająco uśmiechniętymi ustami rzuca się w nurt, wiedząc, że wypłynie na drugim brzegu... Kędyż jesteś wiaro Aleksandra, syna Filipa, który z trzydziestu tysiącami Macedończyków ruszał na miliony żołnierzy Darjuza... To wszystko jest na nic — ostatecznie musi się

stać coś, że będę przez koalicję pokonany... Nie tu, to gdzie indziej... Lecz i tu nawet stanie się coś, że będę pokonany, mimo wszystkich przewag po mojej stronie...

Więc im dalej odsuwam ten moment, tem dłużej jestem cesarzem, zwycięsą pod Charleroi, pod Ligny, pod Quatre-Bras, piętnastego i szesnastego czerwca — tem dłużej jestem niepokonany... Gwiazdo, gwiazdo. gwiazdo Napoleńska! Gdzież jest twój blask? gdzież są twoje złote promienie? czy starłaś się, czy zapadłaś w oczy zielone demona fatalności!...

Cesarz potrząsnął głową, jakby nużące myśli odganiał. Wyciągnął zegarek, spojrział i rzekł:

— Po piątej — nie będziemy mogli zacząć, jak o dziewiątej... Bertrand, proszę pana, pisz pan:

„Cesarz rozkazuje, aby armja gotowa była do ataku na dziewiątą. Panowie komendanci“...

Podpisano.

Rzucił się na żelazne łóżko polowe.

* * *

Cesarz odsunął srebrną filiżankę z herbem, odsunął mapy, które studjował, i odezwał się:

— Mamy dziewięćdziesiąt za sobą, dziesięć przeciw sobie.

— Marszałek Blücher jest szalenie zuchwały i odany Wellingtonowi — rzekł generał Drouot.

— Ale jego szef sztabu, Gneisenau, jest bardzo ostrożny — odparł cesarz. — Marszałku Sault, wszak pan tu przed dwudziestu jeden laty, jako podkomendny Lefebvre'a spychałeś Austrjaków?

— Tak sire, jednak najodporniejszą na świecie jest piechota angielska. Nie do przełamania.

— Wasza ekscellencja uważa. Że pana pobił Wellington w Hiszpanji, masz go pan za wielkiego wodza, a Anglików za wielkich żołnierzy! Furda! Ja panu powiadam — ale otóż idzie Reille, on także poznał Anglików — Reille, co pan myślisz o Anglikach?

— Że to najlepsi strzelcy na świecie, najjaśniejszy panie. Kto Anglików atakuje, naraża się na szalone straty, nim do nich dotrze. Jedyne manewrowaniem można coś przeciw nim wskórać. W manewrowaniu są przycięzcy.

— Otóż to! Ile razy powtarzałem, że te armje zwyciężają, które manewrują. Ten aforyzm przejdzie po mnie do historii. Wiem, że Anglicy są przycięzcy. Będę manewrował.

Umilkł.

Obecni patrzyli na cesarza. Czuli oni, że wszyscy powtarzali mimowoli ten sam frazes któregoś z generałów:

„To już nie ten Napoleon, któregośmy znali“...

On zaś przebiegał wzrokiem w ziemię spuszczonej ostatnie wydarzenia, niedoślestwo Ney'a, całodzienne marsze i kontrmarsze bezowocne szesnastego czerwca hrabiego d'Erlon między nim a Ney'em, bez dojścia ostatecznie do udziału z tym, lub z tamtym we wspólny bój pod Quatre-Bras, przebiegał wzrokiem w ziemię spuszczonej odbite w pamięci ich twarze i odgadywał ich dusze — —

to już nie byli ci sami ludzie...

Oni nie wierzą w niego — —

nie wierzą w zwycięstwo — —

są tacy, którzy nie chcą zwycięstwa — —

są, którzy pragną powrotu Bourbonów — —

wielu służy mu, bo jest, bo się znalazł, bo wrócił z Elby — — to nie są oddani podwładni — — to są wodzowie monarchy i gaży...

Gorycz przepeliła ducha cesarza.

Wstał nagle i porywco.

— Jedziemy na przegląd. Ostatni przegląd. Hej tam! Siodłać mi Marie! Nie będę uciekał. Koń meklem-burski mi potrzebny, bo będę stał na miejscu, a pojedę wolno do Waterloo, gdzie nocował imci pan Wellington. Proszę panów za sobą.

Słońce! Ah!

Słońce oświeca zglubę Anglików...

Cesarz wyrzucił z siebie ten frazes. Dla potomności. Równoleżnik do słońca z pod Austerlitz..

Oczy cesarza zanurzyły się z pagórka w głębokie szeregi piechoty, grenadjerów, fizyljerów, wołtyżerów, biegły po świetnych uniformach dragonów, huzarów, szaserów, kirasjerów, olbrzymich karabinierów, lansjerów, objęły miłośnie artylerję, „broń cesarza“, z „najukochańszemi dwunastocalowemi córkami cesarza“ — szedł dzień zagłady najsroźszego z wrogów, dzień zwycięstwa...

Nigdy nie brzmiał tak rozgłośnie, nie był wzniesiony z takim zapalem okrzyk: „Vive l'Empereur!“

I nigdy nie huczały tak wspaniale trąby i kotły, grając cesarski hymn:

Cesarstwa dzierzmy straż...

„Tu stańmy — Cesarstwu na straży,
Na straży wolności i praw.

Cyt... spisek despoty się waży!

Hej! za broń! walcz! swobodę zbaw!

Wolności, żyj! wolności, żyj!

Kto żyw, złóż hołd — tej chwale k'woli.

Tyranjo! drzyj!

Weźmie czas odwet krwi z krwawych win.

O, raczej śmierć, niż srom niewoli!

To synów Francji zew i czyn.

Francji naszej wolność — rzecz święta

Z jej źródłu czerpie cały świat.

Łańcuchami nas gdy wróg spęta.

Wraz narody wsze skuje kat.

Wolności, żyj! wolności, żyj!

Kto żyw, złóż hołd — tej chwale k'woli.

Tyranjo! drzyj!

Weźmie czas odwet z krwawych win.

O, raczej śmierć, niż srom niewoli!

To synów Francji zew i czyn.

Hej, sam tu! kto wrogiem tyrana,

Sam tu! kto tyranę chce zgnieść!

Podłością Europa skalana,

A z nami Wiktoria i cześć!

Wolności, żyj! wolności, żyj!

Niech twe imię błysnie jak słońce!

Tyranjo! drzyj!

Odwet dasz, odwet dasz z krwawych win.

My jednej macierzy obrońce:

Kto wolny — Francji ten jest syn“¹

¹ Przekład p. Jana Grzymały Grabowieckiego.

Przewijały się przed oczyma kolory i blaski płasza-
ne, złoto i srebro, tęcza barw błękitnych, zielonych,
białych, pomarańczowych, granatowych, czarnych,
futra, hełmy, kaski, stal polerowana i złocona, żela-
zo — — ludzie, konie, wyraz potęgi, słowo panowa-
nia...

Cesarz począł rozważać: ośmnastego fructidora pod-
trzymałem Dyrektorjat, ośmnastego brumaire'a rozpe-
dziłem Izbę Pięciuset i ovladnąłem Paryżem, ośmna-
stego podpisałem konwencję w Leoben pobiwszy Au-
strjaków, ośmnastego umarł jedyny mój rywal Ho-
che — — ośmnastego cofnąłem się z pod Lipska...
I dziś mamy ośmnastego... W Egipcie nie zdobyłem
Saint Jean d'Acres — — i tu stoję przed Mont-Saint
Jean...

Francuzi śmieliby się, gdyby wiedzieli o czem my-
śle — nazwaliby mnie zabobonnym Włochem. Trzeba
się do nich odezwać, żeby nie mieli wrażeń, że słab-
nę na duchu...

— Ah, ah — odezwał się jednak potwierdzając
możliwe przypuszczenie Francuzów — gdybym miał
lat dwadzieścia siedm, gdyby koło mnie byli Dessaix,
Kleber, Lannes — —

— Oni tworzyli konsulat, my cesarstwo, sire —
burknął obruszony Ney, który jeszcze nie udał się na
swe stanowisko.

Cesarz nie zwrócił uwagi. Myśl jego, wbrew jego
woli, przerażona przecuciem, uciekała od teraźniejszo-
ści, niesiona liryzmem w sferę wspomnień.

— Dessaix — mówił — Dessaix — — byliśmy mło-

dzi... Pod Marengo, gdzie decydował się mój los i gdzie mogłem upaść, lub wyjść panem sytuacji, jak teraz Grouchy'ego, nie wiedząc, gdzie są Prusacy, wysłałem Dessaixa szukać Austriaków, pod Novi. Lecz Mélas całą masą natarł na mnie. Od szóstej rano do drugiej byliśmy parci wtył. Pamiętam, że siedziałem nad wąwozem, wiodącym do Aleksandrji, trzymając konia za trendzlę i podrzucałem kamyki rajtpajczem i że gwizdałem arję z komicznej opery „Wieżień czyli Podobieństwo“. Czułem, że jeżeli nie stanie się coś, runę. Wszakże Mélas, jak panowie wiecie, pojechał z pola bitwy około drugiej do Aleksandrji i rozesał stamtąd wiadomości w cztery strony świata, że jestem pobity. Prostu, prawdę mówiąc, niektóre moje kolumny ogarnęła już panika. Piszą, że byłem mimo to pewny zwycięstwa. Diabła tam! Nie byłem przecież Duchem Świętym. Pehnąłem rozkazy przybycia Dessaixowi, ale mógł się spóźnić. Wtem, patrzę, jedzie ktoś ku mnie galopem — patrzę Dessaix. Siadam na konia. Spotkaliśmy się. Usłyszałem armaty — mówi — posłałem rekonesans do Novi, nikogo, zakomenderowałem marsz pod Marengo. Adjutanta generała, pana Bruyère, spotkałem już niedaleko stąd. Cóż ty na to? — pytam się. Rozejrzał się, wyciągnął zegarek i mówi: „Tak, ta bitwa jest przegrana, ale jest dopiero trzecia, i mamy czas wygrać drugą.“

O! to było cudowne powiedzenie... Mieliśmy po dwadzieścia siedm lat. Za sobą Lodi, Rivoli, Arcole, Medjolan, Egipt.

„Zsiądźmy z koni — mówi — posiedźmy chwilę, żeby żołnierze widzieli, że jesteśmy spokojni“.

Zsiadliśmy. A potem znowu na koń. Podaliśmy sobie ręce. W pół godziny potem Dessaix padł.

— Najjaśniejszy panie, jesteśmy tak samo gotowi paść za ciebie — rzekł adjutant, hrabia de Turenne.

Cesarz spojrział nań, jakby z wdzięcznością.

— Mieliśmy po dwadzieścia siedm lat — powtórzył. — To był cudowny dzień mego życia. Gdyby nie śmierć Dessaixa. W godzinę śmierci będę pamiętał.

Jakże okropnie był sam... W dniu, w którym się waży jego los. Czy jest naokoło niego jeden człowiek, któryby mu szczerze rękę uściśnął? Mus tylko lub interes ich wiąże. Gdzież jesteś ty promienna, młoda chwilo, śmiertelna godzino przyjaźni. Gdzież jesteście dnie uczuć? Gdzież jest drugi Muiron, któryby go od kul nieprzyjacielskich zasłonił swą osobą?...

Jakaż okropna samotność... Kraj, z którego pochodził, utracił; kraj, który stał się jego krajem, nie jest jego krajem. Gdzież jest jego prawdziwa, rzeczywista ojczyzna? Panowanie? Lecz to panowanie kruszy się w rękę...

Ah! Więc i to? Więc zawiódł się na siebie?... Na własnych siłach, na własnej głowie!?

Sztandary defilujących pułków francuskich chyła się przed wzgórzem Plamenoit, a biała meklemburska klacz wzdryga się od okrzyków: „niech żyje cesarz!...“

Lecz precz te myśli! Precz! Szkoda tych sekund, które wichrem przelatując przez głowę cesarza, trwają. Tu idzie o wszystko!...

— Wellington założył się chyba w klubie, że ani jeden jego żołnierz nie wróci — rzekł Ney, patrząc przez lunetę polową.

— Tak, jedyny jego odwrot, to ten wawóz pod Mont-Saint-Jean — rzekł Kellerman. — Zgnieciemy go o jego własne plecy.

Czy mówią tak, bo tak myślą? Czy, żeby pochlebić? A jednak to jest prawda. Wellington p o w i n n i e n być pobity. Jego pozycja p o w i n n a stać się dla niego fatalną. No więc co?

Dlaczego wewnątrz swego serca drżysz, o Buonaparte?

Ty, który manewrowałeś nieprzyjacielskimi armijami, jak swojemi, wywołując ich ruchy, jak ruchy opilek żelaza magnelem — — przecież nie zatracił się twój Genjusz, nie! czujesz go przecież w sobie — — więc co?!...

Jak powoli, jak powoli ściągają się pułki. Piorunyby leciały z twych ust kiedy indziej na taką powolność. o Buonaparte, dowódcy chwialiby się w siodłach — — dziś milczysz.

Milczysz i czekasz. Czekasz cierpliwie, statecznie. Nie! Na Boga! Ty wolałbyś, aby te pułki nie ściągnęły się nigdy, do nocy, aby już zaszła noc — — jesteś już tylko własnym swem widmem, za życia cieniem już tylko własnej wielkości i chwały? echem swego genjuszu, zgubionem w lesie, daleko od rogu myśliwskiego, który grał...

Cesarz patrzy na zegarek: dziewiąta dawno minęła.

Od świtu do dziewiątej, od dziewiątej do którejże? Kiedyż rozpocznie się atak...

— Zdaje mi się, że nie zaczniemy przed pierwszą — odzywa się do generałów. — Proszę na stanowiska.

Odjeżdża klusem w bok do Rossomme, zsiada z konia i dyktuje marszałkowi Soult'owi:

„Gdy już cała armja uszykowana będzie do bitwy, około pierwszej popołudniu...”

Podpisano.

Lecz rozkaz ten nie jest wyrazem żadnego manewru. właśnie żadnego manewru. Jest to tylko plan przelamania centrum nieprzyjaciela i zdobycia wzgórza Mont-Saint-Jean, co dałoby przewagę, a wszystko manewrowanie zależałoby od okoliczności.

Cesarz trze czoło. Co paraliżuje jego energję?! Wszystkie pomysły pierzchyły mu z mózgu — został tylko jeden: rzucenia się naprzód.

Lecz nagle ogarnia go niepokój. Słońce nie świeci dwudziestu czterech godzin, nie jest Jozuem, któryby je zatrzymał. Jest jedenasta.

— Hrabio Turenne — woła — proszę nakazać generałowi Reille zająć przekopy pod zamkiem Hongoumont!

Kości rzucone.

Armaty pocezęły grzmieć.

Biała klacz meklemburska wstrząsnęła skórą pod siodłem, wyciągnęła łeb naprzód, nastawiła uszy i rozdeła chrapy.

Lecz gdy cesarz głaskał ją po karku, przypadł doń oficer konny z depeszą.

Cesarz rozerwał i przeczytał. Zawahał się chwilę, potem rzekł głośno:

— Moi panowie, marszałek Grouchy donosi, że Blücher cofa się na Bruksellę z widocznym planem, aby się połączyć z Wellingtonem.

— Czy Grouchy donosi, że potrafił lub potrafi temu zapobiec? — spytał Soult.

— Nie donosi.

Popatrzone na cesarza: nie wydał żadnych poleceń. Niebawem ruszył koniem, aby rzucić raz jeszcze okiem na przestrzeń pola bitwy. Jechał długo w milczeniu, bez zwracania uwagi na czas.

— Czy to chmura, tam? — zapytał po chwili, wskazując lunetą trzymaną w rękę.

— Gdzie? — zapytał Bertrand.

— Tam. Od północnego zachodu. Ależ to chmura obłok, tak...

— Obłok — rzekł Turenne.

— Wojsko — oświadczył, wpatrzywszy się Soult.

— Obłok — rzekł powoli cesarz, rozpoznając żołnierzy w oddali.

— Być może, że jednak wojsko, sire — mówił generał Bertrand, patrząc przez lunetę.

— Francuzi — ozwał się książę Bassano, Maret.

— Prusacy — rzekł generał Gourmand.

— Marsz! — zawołał cesarz. — Szwadron szaserów. Rozpoznać.

Zimny jakiś, niepokojący dreszcz przeszedł mu po piersi.

Zatrzymał się w miejscu i czekał, mnąc w rękę

port Ney'a, że jest gotów do ataku. Oparwszy końce stóp w strzemionach, ruszał nerwowo piętami w prawo i w lewo.

Niezadługo mały oddział kilku szaserów przypędził przedeń z podoficerem pruskim.

— Mówi po francusku, sire — zameldował wachmistrz szaserów.

— Coś za jeden? — zapytał cesarz.

— Z drugiego pułku huzarów śląskich księcia Pless — odpowiedział podoficer.

— Z czyjego korpusu?

— Generała Bülowa.

— Pociąg jechał?

— Z listem.

— Do kogo?

— Do księcia Wellingtona.

— Dawaj.

„Bülow donosi o zbliżaniu się...

— Gdzie jest armja pruska?

— Maszeruje —

— Widzieliście Francuzów? — przerwał cesarz.

— Nie.

Gwałtowna lecz momentalna zmarszczka ściągnęła brwi cesarza.

Spojrzał na zegarek. Była już pierwsza.

— To nic — rzekł — posyłam Grouchy'emu rozkaz, aby doszedł Bülowa i zgniół go; nastąpi to, gdy Bülow będzie atakował nasze prawe skrzydło. Hrabio Latour — zwrócił się do adjutanta — proszę zawieźć marszałkowi Neyowi rozkaz ataku. Co koń wyskoczy!

— Jakie mógł sobie postawić zadanie Wellington? — myślał cesarz, patrząc bez uwagi za adjutantem. — Wytrzymać aż do nadejścia posiłków pruskich. Musi on mieć wiadomość od Blüchera, niepodobna, aby jej nie miał. A zatem o to gra, aby go pobić, zanim Prusacy nadejdą, a potem pobić Prusaków. Czwórprzymierze posiada wprawdzie ogromne siły, ale klęska pierwszych jego wodzów rzuci popłoch, a zwycięstwo francuskie zelektryzuje całą Francję. Będzie to może most pokoju. Koalicja zawaha się ryzykować dalej, może ustąpi... Byłoby to uwolnienie od prowadzenia wojny, której ostateczny wynik — — cesarz zatrzymał własną myśl — zsiadł z konia i począł przechadzać się z rękami założonemi pod surdut w tyle, pogwizdując arję z pod-Marenga.

Armaty grzmiały już na całej linii.

Nie widział, że źle zrozumiany jego rozkaz symulacyjnego ataku na zamek Hongoumont zamienił się w rozkaz zdobywania zamku i że jego piechota, rażona ogniem z murów, kładła się tam pokotem bez żadnego pożytku dla wyniku bitwy. Nie widział i nie wiedział o tem, że Ney, postawiony na czele czterdziestu pięciu tysięcy powierzonych sobie sił, jakby szalony, kolumny maszerującej do ataku piechoty uszykował w sposób fatalny, w zbitą masę, którą ryły poprostu kartacze angielskie, kładąc pokotem całe szeregi bez żadnego dla wyniku bitwy pożytku; że na Haie-Sainte pchnięto piechotę bez armat, jakby obłąkanej głowy rozkazem, niszcząc

ją jak gdyby własnymi rękoma. Ale widział kontrataki angielskie, które wydawały mu się piorunami, którym podobnych nie widział nigdy. Widział przez lunetę konie kawalerji angielskiej z puszczonei euglami gnające, jak wściekłe, że francuscy oficerowie wykrzykiwali, iż chyba Wellington uzdy kazał pozdejmować, a przy tych wściekłych koniach trzymając się za strzemiona biegli do ataku górale szkoccy, szybcy, jak wichher, skacząc przez trupy ludzkie i zwłoki końskie na drodze, jak capy skalne, leky, jak ptaki, silni, jak lwy.

Widział te ataki uderzające jak klinem żelaznym w jego armję. Widział jakąś stalową wolę, jakieś męstwo nieznanne mu, rozkazy dowódcy wyciągające się za wależącemi kolumnami, jak potężne pręty i poręcze ze stali, o które się plecy wależących opierały, energję wależących podobną do energii piły przerzynającej granitowe bloki. To widział — nie widział zaś całych dywizyj rzuconych w walkę bezrozumnie, wależących na strzelbę dawaną prosto w twarz i pierś, o których myślał, że stoją nietknięte i świeże, czekając na swoją kolej przeważenia szali.

Lecz widzi oto, że linje Wellingtona gną się pośrodku. Prostym sposobem postanowił przelamać armję angielską w centrum, a potem zgnieść skrzydła.

I to zaczyna się ziszczać. Wyprężona struna pułków angielskich, belgijskich, holenderskich i hanowerskich poczyna pękać. Holendrzy i Belgowie nie wytrzymują nacisku! Vive l'empereur! Ów cudowny krzyk dobiega jego uszu tam, z pola walki, z dziesiątek tysięcy zdyszanych piersi rzucony. Zwycięża... Szeregi jego łamia

zagrody szeregów Wellingtona, poza któremi w świątyni z tęczy śpi z opuszczonym u kolan wieniec lauru w ręku obojętna bogini zwycięstwa, Nike, którą on chwyci wyciągniętą dłonią za kraj draperji, a wtedy ona się zbudzi, wyjdzie z świątyni z tęczy i żywa, palająca, promienna roztoczy skrzydła, podobne do skrzydeł orlicy i wieniec włoży mu na przywykłą głowę.

Wtem usta jego stygną.

Widzi jakąś szarżę olbrzymią kawalerji — to Ney — „le brave des braves“ — lew marszałków Cesarstwa.

Chmury koni i jeźdźców olbrzymich, chmury lekkich ludzi i koni — tumult ten gna, jak opętany i wali się szturmem na Anglików.

Bez rozkazu, o godzinę za wcześniej — nie, aby do nieść, lecz aby łamać dalej.

Lecz stało się.

Kłeska tej kawalerji wywołałaby popłoch — i z rozkazu cesarza gna jej w pomoc Kellerman z nową chmurą kirasjerów i karabinierów, dragonów gwardji, grenadjerów konnych, dumy i siły Cesarstwa.

Zwycięstwo! Zwycięstwo! — krzyczą koło niego oficerowie sztabu generalnego.

Dziesięć tysięcy szabel i mieczów krwawi się za Napoleona Wielkiego — — lecz on podwójną prowadzi walkę, jak wielki mistrz szachów równocześnie na dwu szachownicach z dwoma przeciwnikami grający — jednego atakuje, by pokonać, drugiego atak wytrzymuje, by pokonawszy pierwszego, przeciw drugiemu się zwrócić:

od frontu przez Anglików, na prawem skrzydle odpiera hufce pruskie — w dziesięć tysięcy przeciw trzydziestu tysiącom.

— Mielśmy dziewięćdziesiąt przeciw dziesięciu, obecnie mamy sześćdziesiąt przeciw czterdziestu pro — mówi.

Nie słyszy zrezygnowanych słów Wellingtona:

— „Potrzeba mi nadejścia nocy, lub Prusaków... Niema tu pola na inny rozkaz, jak tylko walczyć do ostatniego człowieka...“

Lecz szwadrony Neya są równie wyczerpane, jak piechota angielska. Koniom uginają się kolana, ludziom zwisają krwawe ramiona — cesarz niema już piechoty linjowej, aby wesprzeć kawalerję —

— „Piechoty? Skąd chcecie, żebym ją wziął? Chcecie, żebym ją zrobił?!“...

Gwardja — — ośm bataljonów starej, sześć średniej — —

lecz Prusacy Bülowa prą, przelamują linję francuską — a gwardja jest, jak krzyk Achillesa przy namiotach Myrmidonów — —

zaledwie poszła w bój, zdobyty przez Prusaków wzgórek Plancenoit został wydarty.

Jest siódma godzina wieczorem — dwie godziny do zmroku. Wellington użył wszystkich swoich sił, on posiada gwardję Wielkiej Armji. W dali słyhać armaty — to Grouchy walczy z Blücherem...

Ah. prędzej, prędzej! Szpadą uderzy w wieniec

zwisły do kolan w opuszczonej ręce bogini Zwycięstwa...

Lecz ukazują się Prusacy Ziethena...

Widać ich w dali...

La Bédoyère, Turenne, kto jest z adjutantów obok, pędzi z jego rozkazu w szeregi z wieścią, że nadchodzą kolumny Grouchy'ego.

— Vive l'empereur! — huczy w radosnych na tę skłamaną wieść falangach Wielkiej Armji.

Zaremba, który jako niegwardyjski oficer, wieloletnim regularnie do szwadronu Jerzmanowskiego być nie mógł, pełnił na ochotnika służbę adjutanta przy szefie sztabu generalnego marszałku Soulcie. Gdy przywiózłszy mu jakiś raport, czekał na dalsze rozkazy, Soult, przeczytawszy notę, ozwał się:

— Mój rotmistrzu, proszę cię, podjedź pod prawe skrzydło; miałem tu znakomitą mapę terenu między Wavre a Brukselą, nie mogę jej znaleźć w kieszeni, zdaje mi się, że ją wczoraj dałem Kellermanowi do obejrzenia, musiał mi zapomnieć oddać. Nie potrzebujesz się zresztą zbyt spieszyć.

Zaremba ruszył wolnym kłusem.

Armaty grzmiały, a Zarembie wydawało się, że od lat dwudziestu ten huk słyszy bez przerwy. Jechał po uboczu płaskowzgórza ponad linjami wojsk i patrzył nieco z podwyższenia na masy ściśnięte w bezprzykładnie wąskim i krótkim polu walki. Czyniło to wrażenie jakiegoś kotła. Gdy zbliżał się ku prawemu skrzydłu, w blasku słońca zobaczył na płaszczyźnie wzgórze mur pancerzy kirasjerskich; stały tam konie

brygady spokojne, zdawa podobne do masy, której ani jedno drgnienie nie przenika. Im bliżej dojeżdżał, tem wyraźniej rozpoznawał sylwety jeźdźców i kształty koni. Dziwną ciszę wyobrażali. Wśród tego huk, trzasku i łomotu bitwy, jaki się rozlegał, wydawało się, że na tych hełmach z końskim czarnym włosieniem, lśniących blachach na piersiach i plecach, na tych ogromnych postaciach ludzkich i na ich wielkich koniach zaległ spokój zupełnie senny i obojętny.

Wtem coś się zmieniło. Błysnęło jak od złotego piorunu.

Nie usłyszał rozkazu z opodał, ale nagle te ławy jeźdźców pancernych zadygotały. To miecze z pochew dobyte błysły. Ruszył pierwszy szereg, drugi, za nim dalsze. Wysuwały się zrazu wolno z miejsca w trab. Wszystko poczęło dzwonić, chrzęścić, hurgotać, tętnić i brzęczeć. Już trąby kawaleryjskie zagrały — grają. Długie mocne brzmienia, zda się znaki geometryczne głosu, jedne podobne do kątów rozwartych, inne do kątów ostrych, strzelistych, raz na dół, raz do góry wierzchołkami zwróconych, biegną linje poziome i krzywe, półkolne, węże rysunku podłużne i łamane w zygzak zagięcia. A każdy ton ten wnika w powietrze, zda się jednak widny był dla oczu rysia lub orla.

Zaremba zatrzymał konia.

Widok był nazbyt wspaniały.

Tysiące pancernej kawalerji ruszyło do ataku masą, szeregi po szeregach, bez końca...

Zbliżali się.

Na przodzie przed nimi z połyskującą szpadą jechał lew Wielkiej Armji, marszałek Ney.

Za nim helmy i pancerze i miecze świecące przy ramionach.

Zjeżdżali z płaskowzgórza.

Coraz szybciej, z coraz głębszym chrzęstem i grzmieniem, rwani i wzdrygani w siodłach ruchem zbiegających wdół koni.

Tętent wydawał się w głębi ziemi echem się odzywać, echem tak groźnym, iż wewnątrz ziemi od niego dygota.

Wtem Ney wznosił szpadę.

Tysiące mieczów podniosło się w górę.

Olbrymi krzyk: niech żyje cesarz! — zgłuszył trąby, strzały i armaty i masa jeźdźców pancernych ruszyła z kopyta.

Naówczas Zaremba dobył szabli, spiął konia i ruszył ku nim.

Wkrótce zrównał się z nimi i leciał obok wicher szalony, bijąc w twarz i kaszkiet ułański.

Nie widział wroga.

Gdzieś we wkłęśłość falistej przestrzeni był on przyczajony.

Koń Zaremby młody, nienawykły do brzęku blach, uszy stulił w tył, kark zagiął, pysk ku piersiom zniżył i pochrapując, gnał nie jak koń w szarzy wiedziony, ale jak koń, który unosi. Zaremba mijał szereg za szeregiem od boku, kędy się przyłączył.

Wypadli z falistego terenu na płaszczynę.

Konie wzięły pęd straszliwy.

Brzęk blach, głos trąb, huk tętentu, krzyk jeźdźców, stały się podobne do gwałtu szalonych meteorów, hurmą błyskawiczną przez moc słońca porwanych; równi byli wściektemu pędowi wałów lodowych na morzu północnem, gdy je wieje bezprzytomna furja wichru, miecie przed sobą, ogromny na wodzie niby pył śnieżny, tuman i obłok kurzu.

Ujrzeni Anglików.

Stały ogrody piechoty, w kwadrat cięte, nieprzeliczone, bagnetami zjeżone.

Nagle krzyk straszniejszy, niż wszelka wrzawa dołąd, rozdarł jak łoskot walącej się skały powietrze.

Zaremba, po boku pędząc, ujrzał, jak pierwszy szereg kirasjerów zapada się w otchłań.

Prąd instynktowny przebódl go — zdarł konia cuglami — napróżno — szalony koń wziął na kiel — w oczach Zaremby drugi szereg kirasjerów zapadł się w otchłań.

Zaremba skoczył z konia, zaćmiło mu się momentalnie w oczach i padł nad rów, w który koń jego, jak ślepy stoczył się z czterema nogami obróconemi do góry.

Ujrzał Zaremba rzecz okropną.

Trzeci szereg kirasjerów leciał już w dół, konie i jeźdźcy w powietrzu, rzucony jak lawina z zawisłego progu olbrzymiej skały. Lecz czwarty szereg począł już stawiać opór pehającej go nawale jeźdźców za sobą. Osadzone na zadach konie. ściągnięte cuglami, parły się w tył, spychane na zadnich kopytach przez napór. Przerażeni jeźdźcy wyli nieludzkimi głosami: „stać!

stać! — wbici w strzemię, podani wtył, przegięci od rowu z rozpaczą, podczas gdy jęk dobywający się z rowu wydawał się być jękiem ziemi ranionej śmiertelnie.

Na szereg czwarty napierał piąty, szósty, wychylały się twarze powleczone okropnym strachem, które na widok rowu obłąkanie zgrozy powlekło. Owe oczy z orbit wylazły, owe usta rozwarte, owe szyje wyciągnięte spazmem trwogi, lub skurezone rozpaczliwą obroną przed nieodpartym naporem, owe konie z rozdętymi chrapami, z oczyma pełnymi płomieni, walące się w dół, lub pnące się wtył i spychane dęba stojące — w dalszych szeregach wznoszone miecze na znak, snać wsparci wysoko na strzemięch jeźdźcy wzywali do wstrzymania się, dawali sygnały.

Lecz jeźdźcy walili się. Jedni skakali z koni i lecieli obok nich w dół, ci obejmowali konie za karki, inni wtył kładli się na grzbietach, owi, puściwszy cugle, chwyтали się za głowy w hełmach od czoła, jakby oczy słońca, lub rozczapierzali palce nad czaśzką, inni, bokiem strąceni, walili się bezwładni razem z bezwładnymi końmi — — spojrział Zaremba w rów.

Tam był wyraz boleści.

Ludzie i konie czynili masę. Widział Zaremba na wznak i na plecach ludzi leżących, dźwigających się na czworaku i podnoszących się prosto, widział konie zabite, pokaleczone, lub zdrowe, rwące się w piekielnych podskokach, lecz nowych ludzi i nowych koni leciał zesyp, warstwa na warstwę, stojący prosto jeźdźcy

ginęli pod nawałą, zdrowe konie obalały się od ciężarów, co leżało przykrywała masa ciał ludzkich i zwierzęcych i znów ten grad okropny ludzi i koni — — owe ręce z rozpaczą w górę podniesione, owe głowy koni wydobyte z krwawej, jęczącej zlepy, kwiczące, jak wieprze zarzynane — —

i dalej znów grad ludzi i koni, powała na powałę, masa na masę, złom kości, gnatów, mięsa, skóry zerwanej, krwawej wichrzycy żyjącej, blach, rzemieni, stali, skór, sukna, żywa, pełna jęku, kwiku, wrzasku, szczęku, ruchu, potwornego i poczwarowego w konwulsjach boleści lawina kotłująca się, jak robactwo zalane w garnku ukropem.

Ostłupiały patrzył Zaremba.

Aż warstwy te wypełniły sobą głębokości dwu metrów i po stosie mięsa i kości przegnały niewstrzymane dalsze szeregi.

Obraz, który teraz ujrzał Zaremba, był śmiercią.

Tu i ówdzie jeszcze dźwigała się z tłoku głowa ludzka, lub podniósł się łeb konia.

Skręt, zwój, splot zapadłych zmiażdżony został, stratowany, wyrównany do niewielkich wyniosłości łąbów, grzbietów, boków, brzuchów lub piersi końskich, poprutek, krwawo bez miłosierdzia kopytami przeoranych; ludzie rozbryznięci byli, rozsiekani, rozlani w pełną krwi czerwonej miazgę, błoto.

Ani jeden głos, westchnienie, jęk, ziewnięcie skonu nie dobywało się z pełnego rowu.

Cisza śmierci spoczęła tu, jak opar na złomie zwałonego lasu po burzy.

Zaremba czuł, że oszaleje. Obłąd chwycił go za serce, za mózg, wpadł mu w źrenice, podnosił mu włosy.

Koń jakiś biegł luzem. Dał się chwycić. Zaremba nań wpadł i bez szabli, którą rzucił, skacząc z siodła, bez pamięci, wbiwszy ostrogi, gnał wzdłuż rowu, dopóki go nie minął, a potem po płaszczyźnie z gołą ręką, krzycząc opętanieczno, leciał za kawalerją polem, przesadzając trupy, gęsto posiane.

Zaremba leciał jak strzała na karre angielskie.

Dwadzieścia sześć batalionów angielskich uszykowanych w trzystaście karre i sześćdziesiąt armat bluznęło ogniem.

Straszliwy dźwięk kul po stalowych pancierzach nappełnił uszy Zaremby przeraźliwym gwizdem, podobnym do zygzaka błyskawicy na tle grzmotów.

Zaremba oprzytomniał, zdarł konia i wstrzymał, nie miał bowiem z czem lecieć na Anglików.

Ujrzał on, jak ogromne konie kirasjerów spinały się dęba i padały wtył z jeźdźcami, jak jeźdźcy z podartymi w strzęp blachami hełmów i panczerzy walili się z siodeł nawznak, lub zlatywali z ryjących nozdrzami ziemię wierzchowców na twarz w krew własną, podczas gdy inni zawisali poprostu w powietrzu nad parkanem bagnatów i spadali na nie, tnąc mieczami i dając straszliwe pchnięcia przed siebie. Uczynił się łoskot i zgrzyt stali, który mieszał się z krzykiem ludzkim, chrapaniem koni, jękami i wrzaskami rannych, miażdżonych kopytami końskimi. Ogromne konie wznosiły się jak słupy z błyskającymi podkowami, szalejąc, gdy bagnety pruły im brzuchy.

Dym od nieustannej palby broniącej się piechoty angielskiej stał się tak gęsty, iż walka poczęła się w nim przeistaczać w wizję apokaliptyczną, w mroku dymu kształty potworniały i przeobrażały się w tuman widm, pełen ryku, szczęku i grozy.

Zaremba skoczył z konia, widząc padającego obok siebie kirasjera, który się cofnął, śmiertelnie ranny w gardło, z tumultu, podjął jego miecz, wsiadł i rzucił się w bój, w chwili, gdy zieloni strzelcy i czerwoni lansjerzy przybiegali z pomocą kawalerji francuskiej. Lecz nadpłynęła fala kawalerji angielskiej, podobna do szybko pędzącego nisko polami obłoku kurzu w moment letniego powichru.

Jeźdźcy francuscy i jeźdźcy angielscy zderzyli się. Konie wspinały się zwarte piersiami, gryząc się wzajemnie, wydawało się, że w tłoku kawalerzyści bywają podnoszeni nad poziom gruntu. Trzask stali nappełnił powietrze z furją niesłyszana dotąd wśród huku wystrzałów.

Szarże przewalały się.

Cofały się regimenty, szycowały i uderzały ponownie.

Piętnaście tysięcy koni walczyło z obu stron.

Podobnego ogromu i chaosu walki kawaleryjskiej Zaremba nie widział nigdy.

To po szeregach Napoleońskich żołnierzy przelatywał okrzyk radości na wieść, że marszałek Grouchy nadeciąga z posiłkami.

Napoleon rozumował według wszelkich zasad prawdopodobieństwa:

szef sztabu Blüchera, ogłędny generał Gneisenau sprzeciwił się bezpośrednio po klęsce pod Ligny marszowi na pole walki pod Mont-Saint-Jean i Waterloo, ale stary marszałek „Vorwaerts!“ się uparł i postanowił za wszelką cenę dotrzymać Wellingtonowi danego słowa, iż stawi się z rozstrzygającą pomocą; szef sztabu marszałka Grouchy, generał Gérard, zaklinał wodza, aby siedł tam, skąd słychać strzały armat, gdzie cesarz walczy, ale Grouchy na wszelkie perswazje, przekonywania i zakłęcia odpowiadał, że ma rozkaz cesarza odnalezienia Prusaków, ścigania ich, przekonania się, czy Blücher dąży, aby się połączyć z Wellingtonem i postawić czoło wspólnie pod Bruksellą, i nie dopuszczenia do tego.

— Dziwnie mi się podejrzone wydają te Francuzi — rzekł jeden z pułkowników, odejmując lunetę od oka. — Uważcie, panowie — zwrócił się do oficerów swego szwadronu — każdy naród ma jakowyś ruch w marszu. Otóż tak mi się wydaje, jakoby to był ruch pruski... Jakim sposobem, kiedy Grouchy —

Nikt dalej w pobliżu mówić nie mógł, gdyż pod niebo wzbijał się okrzyk: niech żyje cesarz! To Napoleon skomenderował pięć bataljonów średniej gwardji i sam je podwoził w bój, by zdać komendę Neyowi — a gdy wstrzymał konia i, stanąwszy od boku frontem do maszerujących weteranów, zdjął kapelusz i pozdrowiał ich wyciągniętą z nim prawicą, oni zaś pochyłali sztandary przed nim, preżąc pierś i zwracając ku niemu głowy w wielkich czapach futrzanych, gdy bębny biły ponury takt śmiertelnego chodu: Zaremba.

gardą oczy zastoniwszy, ięc palcem otarł, i ruszyłby z gwardją, gdyby był śmiał się wysunąć.

Gwardja miała stanowczo przeważyć szalę.

Pod ten czas nie Grouchy, ale podkomendny generał Ziethen ciągnął, atakował prawe skrzydło francuskie.

Pod ten czas stojący obok szeregu kapitan karabinierów, wicehrabia Damian de Beaufort, brat stryjeczny poległego w wojnie domowej przeciw Napoleonowi margrabiego de la Rochejaquelein, szeptał do jednego z oficerów partji królewskiej:

— Słuchaj — — jeżeli Napoleon zwycięży — — co będzie?... on zwycięży...

— I my jesteśmy zmuszeni pomagać mu naszymi szablami. Jakobyśmy własnego króla rąbali niemi! Szlachta francuska! To straszne.

— Niech żyje Ludwik Ośmnasty...

— Niech żyją Bourboni...

— Gwardja rusza — — żaden cud nie powstrzyma zwycięstwa...

— Musi zwyciężyć — — Anglicy nie spodziewają się tego ataku — nie widzą go za wzgórzem... Zgniotą ich, natarłszy niespodzianie... Gdyby Anglicy wiedzieli...

— Gdyby Anglicy wiedzieli.

— Słuchaj, Damianie, jest sposób! — zaszeptał gwałtownie.

— Sposób? Na Boga!

— Patrz — tam — za te chałupy puste — tam —

widzisz — skrócić tylko w bok za te chałupy, w fa-
listym terenie znikniesz z koniem —

— Nie rozumiem — co?!

— Jedź! Daj znać Anglikom!

— Bóg jest żywy! Możeż to być?

— Jedź! Nikt nie zobaczy stąd od nas — a skąd
inąd nie zwróca uwagi — tylko za te chałupy pod-
jechać — na to nikt nie spojrzysz nawet. Wszystko pa-
trzy w gwardję, jak w tęczę. Prędkiej! Spiesz się!

— Zdrada? Dwa razy dziś szarżowałem —

— I ja. Zdrada przeciw Buonapartemu! Zdrada
w imieniu króla! Dla naszego króla! Jesteśmy Fran-
cuzami!

— Mówisz, jak gdybyś był krzyżowcem! Jadę!

— Niech kwitną Lilje! ¹

— Vive le roi!

Beaufort ruszył stępa w bok. Koło chałupy będąc
widocznym zsiadł z konia i poprowadził go za węgły —
tam siadł na nowo, dał koniowi ostrogi i, pochyliwszy
się na kark, puścił się wyciągniętym galopem ku linii
Anglików.

Gwardja maszerowała potężnym krokiem. Znać
było, że jej szturm niespodziany będzie straszny, zdruz-
goce i złamie, co napotka. Gnącą się mimo strasznego
oporu linję Wellingtona postanowił Napoleon przeła-
mać ostatecznie. Nim wojsko się spostrzeże, że to nie
Grouchy nadeiiga, póki czas. Raz zepchnąwszy Angli-
ków w popłoch, oprze się Prusakom. Poprze gwardję

¹ Herb Bourbonów.

pozostałością piechoty Reille'a i resztkami kawalerji.
Lecz Ney źle prowadzi te pięć bataljonów — zbliżają
się zanadto do siebie, łączą w masę... Jakże powoli
szykuje się piechota Reille'a... ah! tylko jeden oddział
kirasjerów jest dopiero gotów — — lecz to nic, Wel-
lington nie widzi i nie przeczuwa ataku, gwardja go
złamie, choć Ney zanadto narazi ją na ogień...

Wicehrabia de Beaufort pędził wśród gradu kul,
które wymieniali tyraljerzy angielscy i francuscy: gra-
naty pękały koło niego.

— Niech żyje król! — szeptał w szalonym pędzie.

Młody porucznik Brooke spostrzegł jeźdźca z wznie-
sioną prawą ręką w górę i szybko rzucił rozkaz nie-
strzelania doń wprost niego będącym żołnierzom 52-go
pułku. Nie pierwszy to dziś oficer francuski przybywał
do Anglików.

Zdrada w szeregach Napoleona kwitła, wiedział
o tem.

Brooke zdumiał się na widok pięknego, wspania-
łego w złożonym helmie i pancerzu jeźdźca.

— Prowadźcie mnie do komendanta! — krzyknął
Beaufort — a w chwilę potem zapowiedział atak gwar-
dji w przeciagu pół godziny.

Jak błyskawica górską, która po twarzach poziomo
przelata, przeleciała ta wieść po szeregach armji Wel-
lingtona. Wellington spał konia i ruszył galopem od
oddziału do oddziału, szykując godny odpór. Piechota,
artylerja, konnica, zadrgały od rozkazów księcia. Ar-
maty rezerwy wysunęły się. Zakazano odpowiadać ar-
tylerji francuskiej, lecz cały ogień do ostatniego poci-

sku wymierzyć przeciw gwardji. Brygada Maitlanda zaległa w zbożu, skrycie i chytrze, przy drodze do Ohain.

Gwardja pojawiła się.

Patrzył na nią Zaremba nie jak na żołnierzy francuskich, narodu mu obcego, choć wspólnie wojowali, ale jak na treść siły i znaczenia Napoleona, tego wodza, który toczył wojny polskie, Księstwo Warszawskie zbudował, pod którym służyli i walczyli generał Henryk Dąbrowski, Kniaziewicz, Zajączek, Księżę Józef Poniatowski... Nietylko Francję, obcą im, nietylko chwałę Napoleona, nie ich cesarza, ale los Polski niosło na bagnietach te pięć bataljonów gwardji Wielkiej Armji. Gdy tu cesarz zwycięży — nikt mu się już nie oprze — ani Niemcy, ani Moskale — — śmioną momentem gwiazda zajaśnieje na nowo, wypróbowany klęskami dyktator ujmie ster rządów świata, wiedząc, że aby on mógł być wielki i spokojny, Polska musi powstać, potężna i wolna...

Kule w nich poczynają bić!... Za gęsto idą... Ani drgną... Jak pod Wagram — — jak pod Smoleńskiem... Vive l'empereur!... Na bagnety! Zdobyli armaty — — pchają regimenty piechoty — — to pierwszy bataljon grenadjerów trzeciego pułku — — Co za masa rzuca się na nich! Zalewają ich!

I ci, z czwartego pułku, w jakim kotle... Pierwszy i drugi bataljon trzeciego pułku strzelców idzie, jak do tańca... Nigdzie wroga... Ci przeważą i dokończą...

Lecz ci właśnie szli w stronę drogi do Ohain, gdzie leżała ukryta w zbożu brygada Maitlanda. Nagle, „jak

czzerwony mur“, wyskoczyli przed gwardzistami Angli-
cy na strzał pistoletu: od pierwszej salwy niespodzia-
nej padło trzystu gwardzistów. Ich wódz, generał Mi-
chel, pada. Ich poddowódcy zamiast ich rzucić, jak hu-
ragan, na bagnety, rozwijają ich do strzelania. Dziesięć
minut prażeni są ogniem bez odpowiadania — szykują
się — — zbyt wiele na nich: poczynają się chwiać. Wel-
lington widzi to: daje rozkaz ataku. Spycha tych gwar-
dzistów i daje rozkaz: stać!

Bo zbliżają się dalsze bataljony gwardji. Udana
ucieczka brygady Maitlanda wciąga ich w zasadzkę.
Ze wszech stron sypią się na nich kule armatnie i ka-
rabinowe. Naokoło nich nic, tylko ogień. Wellington,
ostrzeżony, przygotował się — — gwardja Napoleona
Wielkiego poczyna się cofać.

* * *

„Gwardja się cofa“ — poszedł pogłos po Wielkiej
Armji i zimny dreszcz. Regimenty, które poczęły posu-
wać się za nią, zatrzymały się w przerażonym zdumie-
niu, zaskoczone i osłupiałe — — świat przewraca się
do góry nogami, czy się kończy — — gwardja nie co-
fała się dotąd nigdy... Jedyna nadzieja, jedyna wiara
w trzydziestu trzech tysiącach Grouchy'ego, które
stamtąd oto, ku prawemu skrzydłu nadciągają... Prę-
dziej, prędzej!...

Obok Zaremby stało kilkunastu wiarusów Napoleoń-
skich ze zniszczonego pułku grenadjerów w wysokich
czapkach. Poczynili oni daszki z dłoni nad oczyma

i wpatrywali się w stronę Saint-Lambert, skąd nadei-
gało wojsko.

— Grouchy — rzekł jeden.

— Nasi — odezwał się drugi.

Rwany, nerwowy śmiech wstrząsnął gardłem trze-
ciego.

— Dadzą im, ha, ha — —

— Bobu — dokończył czwarty.

Zmęczone, zziajane twarze Francuzów poczerwie-
niały.

Lecz nagle bladeść powlekła je niemal śmiertelna.

— Cadilloux — rzekł jeden — to Prusacy...

— Prusacy...

— No to po nas, Matko z Paryża!...

— A po nas...

Karabiny zadygotały im w rękę; spojładnęli po so-
bie, a potem na lekkokonnych polskich. Ich marsowe
twarze stały się bardzo smutne i poważne.

— Polacy — szepnął półgłosem żołnierz zwany
Cadilloux.

— Mało — rzekł kapral.

— Prusaki — przeleciało po szwadronie Jerzma-
nowskiego.

Zaremba popatrzał na żołnierzy.

Byli spokojni.

Sytuacja straszna, sytuacja bez wyjścia stała się
już częścią składową życia polskiego, uczucie jej czę-
ścią składową krwi polskiej.

— Trza będzie zginąć — zamruczał jeden uian.

— Na toś się psiamac rodził — odpowiedział mu
drugi.

— Dyceś wiedział, że na to się do wojska idzie,
aby póty żyć, dopóki się nie umrze.

Cała armja angielska ruszała lawą do ataku.

Wellington, widząc nadeszłą pod Ziethenem i nadecho-
dzącą dalszą pomoc Blüchera, wypadł przed front i, wy-
prostowawszy się w strzemiionach, powiał kapeluszem.
Na ten znak wszystkie siły angielskie w ciasnocie skon-
centrowane ruszyły naprzód.

Już poczęto we francuskiej armji mieszać się i giąć.

Armja podczas walki frontowej została zatakowa-
na /znieacka z boku. Poczęto wołać: zdrada! zdrada!
A w echo za tem dały się słyszeć wołania: ratuj się,
kto może!...

Napoleon, siedząc na srebrzysto-jabłkowitym Tauri-
sie, który go przyniósł nad Niemen, a na którego się
przesiadł zmieniając zmęczone wierzchowce, szykował
do otoku dwa bataljony strzelców i bataljon grenadje-
rów starej gwardji, aby je osobiście powieść w posilek
walczącym pięciu bataljonom, gdy ujrzał załamanie się
i zamieszanie swoich sił. W jednym mgnienu oka ob-
jął on i przeniknął sytuację. Przegrał. Serce zadrgało
w nim. Zniżył zmarszczeniem czoła nad brwiami ka-
pelusz, aby oczy o ile się da przysłonić, i wydał ko-
mendę formowania trzech karre.

— Prędko! — wołał. — Żołnierze zatrzymają się
koło tych bataljonów, jak koło słupów!

Kalkulacja możebności i prawdopodobieństwa za-

wiodła... Marengo... Dessaix... Młodość... Most i załamane się mostu.

W tej chwili pułkownik Jerzmanowski powtarzał rozkaz:

— Baczość! Macie słońcie cesarza! Honor i Polska!

Zawahanie się armji Napoleońskiej stawało się już ucieczką. Kawalerja pruska cięła szablami rzucających broń i podających tył. Panika ogarnęła Wielką Armję. Wśród kolosalnej wrzawy bitwy bataljony, pułki, szwadrony poczęły się cofać, tłoczyć, mieszać wzajemnie, spychać i rwać. Panikę potęgował zbliżający się mrok.

Na karze Napoleona wpadli dragoni angielscy i czarne ulany brunświckie, piechota angielska i szkocka, huzarzy pruscy i pruska infanterja. Naokoło wszczęły się pożary od strasznych salw armatnich, a przy ich blasku płynęły rzeki uciekających i goniących — płynęły rzeki krwi...

Bogini Zwycięstwa, Nike, zasunęła zasłonę świątyni...

Trzy bataljony Napoleona i czwarty, który przybył, cztery kwadraty, cofały się krok za krokiem, tracąc armaty, zostawiając ludzi. Pokotem kładły przed sobą nieprzyjaciół, którzy je atakowali i przyjaciół, którzy w nich chcieli znaleźć schronienie. Cesarz usiłował zatrzymać niemi napór i pościg wroga, uratować armję, dać jej czas ochłonać, zatrzymać się i zgrupować.

Rozległ się mocny, uroczysty warkot bębnow

To cesarz kazał bić „grenadjerkę“, aby gwardziści rozpruszonych skupić koło siebie.

Wśród pięciuset ludzi dobył szpady. Do ataku!

Dobyli szpad generałowie zgrupowani koło niego.

Cesarz daje ostrogi koniowi. Chce rzucić się naprzód, walczyć, jak żołnierz i zginąć, jak bohater. Grenadjerowie podnoszą okrzyk trwogi i grozy. Marszałek Soult chwytą za cugle Taurisa.

Dwa płomienie krzyżują się w piersi cesarza. Nie ubiła go żadna kula, nie drasnęła nawet... Śmierć nie chce go wziąć... Walczyć, jak żołnierz, zginąć, jak bohater... Tron, syn, jego genjusz... Genjusz jedyny... Uderza konia ostrogami wznosząc szpadę, lecz ręka Soula zastanawia Taurisa, osadza go w miejscu.

Przeznaczenie...

Zginąć — — — lecz żyć — — —

Cesarz daje się cofnąć — —

niedługo potem maszeruje powoli przed cofającymi się bataljonami gwardji, osłonięty niemi przed atakiem — dociera w odwrocie do Caillou, gdzie nocował.

Lecz kolumna huzarów zabiega mu od boku. Pięć szwadronów sady, co koń wyskoczy.

Dostrzegł ich Jerzmanowski.

On cofnął się ze swym szwadronem mało naciskający, ulicą wśród furgonów, które go ochraniały jak wał.

— Wypuściwszy konie poza furgonami, możemy zbiec — rzekł jeden z kapitanów.

Lecz Jerzmanowski wskazał mu pałaszem: patrz tam!

— Wydaje się, jakoby cesarz tam jechał, czterech

generałów i pięciu czy sześciu szaserów konnych... Prze-
bóg! Przecie na nich lecą huzarzy z flanki!

— Właśnie.

— Formuje się! Do ataku broń! Cugle skróć! Marsz!
Marsz!

Spiął Zaremba konia ostrogami, że ten susa wyciął
z miejsca, jak jeleni postraszone, i Szwadron Wyspy
Elby, ostatni szwadron Napoleońskiej kawalerji pol-
skiej gnał ze wzgórza wdół tak ostrym pędem, że dech
w piersi się zapierał.

— Marsz! Marsz! — wołał wódz.

— Marsz! Marsz! — powtórzyli ułani.

— Ostatnia szarża, — rzucił ku Zarembie Jerzma-
nowski.

Zabiegali oni huzarom zukosa do frontu. Ci zoczyli
ich. Nie rozpoznali liczby i komendant zwracać począł
całe pięć szwadronów; nim zwrócił, lekkokonni Jerzma-
nowskiego runęli w nich, jak szaloną falą pchnięta
porwana z portu szalupa w bok okrętu skręcającego
uderza.

Klin uderzył tak potężnie, że huzarzy pryśli od cio-
su. Przewracając konie i ludzi wybili lukę lekkokonni
w drugim szwadronie, na który wpadli i dostali się na
powietrze. Ale już inne szwadrony poczęły owijać ich
kręto.

Cesarz, wypadłszy z tumultu z kilku generałami
i małą eskortą, gnał naprzód, aby znaleźć gdzieś punkt
oparcia i próbować zatrzymać rozbitków z pogromu.
Stał się wieczór i księżyc wyszedł.

Ah, ah, — — cóż to za polowanie straszliwe przy
księżycu poza nim się odbywa...

Okropni jeźdźcy ścigają i rąbią jego żołnierzy...

O hańbo! O piekło nieszczęścia!

Niema już Wielkiej Armji...

W zmęczonym mózgu cesarza, który przez cztery
doby tylko na krótko zsiadał z konia, pogrom poza nim
staje się wizją tak straszną i okropną, jaką jest rzeczy-
wistość. Aż tej miary dociąga. Cesarz widzi naraz
wszystkie ciemiona sieczone, wszystkie plecy klute,
wszystkie ciała swej armji, które są tratowane.

Ten ogrom ran, trupów i uciekających napelnia ta-
ką masą mózg cesarza, wytłacza się w nim z tak po-
tworną i przeraźliwą siłą, że przez oczy cesarza nie
biegnie wzrok, ale w oczach tych, jak w szkle odbija
się śmiertelna robota mózgu. I tak ze wszech stron
otoczony jest wizją mordu swoich żołnierzy.

Gna zaś znów w oteblań. Koń leci gdzieś, zapewne
zapada w ciemność, która jest przed nim. Kopyta
jego nie tętnią już po ziemi. Dawno pozad została zie-
mia. Cesarz i jego koń pędzą w ciemności, w przestrzeni
ciemnej, jadą nad głębią bezdenną, koń uderza już ko-
pytami w nicość, w mrok tylko, który jest księżycową
powierzchnią bezdni czarnej i głuchej, jak grób...

Cóż to?

Ah, ah! Kareta! Członki bołą. Jego kareta wojen-
na. Zsiada z siodła, wsiada do niej. W tej chwili grzmi
wrzask: hurra! hurra!

— Najjaśniejszy panie! — woła generał Ber-
trand. — Huzary pruskie!

Cesarz wysiada.

O nędzo! O hańbo! O upadku!

W pośpiechu pakują mu płaszcz, który już zrzucił. Tłoczą mu rękawy. Nieleddie popychają go. Podają mu szybką Désirée, gotową. Wszyscy na koń! Karetę zostawić!

ah! ah!

wszyscy szatani!...

Désirée unosi go wichrem.

* * *

Ocknął się Zaremba na wilgotnej ziemi w głęboką noc. Konia przy nim nie było, śnać nie sobie waląc się z mostu nie zrobił, zerwał się i uciekł.

Znów, jak pod Lipskiem, został na polu bitwy.

Trupy ludzkie, zwłoki końskie leżały naokoło. Nikt nie jęczał w pobliżu, ale w szerokiej przestrzeni raz po raz wznosiły się jęczenia bolesne. Księżyc świecił jasno i widział Zaremba okropne pobojuwisko, raczej plac piekielnej gonitwy pogromu.

co będzie?

Szalona rozpacz zdjęła serce Zaremby. Dosyć! Dosyć tego życia! tego daremnego bojowania, tego ściągania widziadła wolnej Polski — — napróżno, napróżno i ostatecznie napróżno...

Honor wojskowy Napoleoński i nadzieje polskie Napoleońskie leżą oto tu — — na tem pobojuwisku... Zostało już tylko jedno: jedno pytanie: cóż teraz będzie?...

Padł Bonaparte — zatem padł świat!...

Zrozpaczony wzrok Zaremby runął ku ziemi — jasno w blasku miesięcznym błyszczała klinga pałasza, na którym się wspierał. Oczy Zaremby zatoneły w tej stali błyszczącej. Wpiły się w nią chciwie, namiętnie, zapalczywie...

Zapamiętał się wpatrzony w stal błyszczącą Zaremba.

Zapamiętał się tak, że nie słyszał, jak pędem ku niemu nadjechało trzech jeźdźców.

Usłyszał dopiero komendę:

— Krzycz pardon!

Spojrzał: jeden z jeźdźców wymierzył ku niemu lufę pistoletu.

— Krzyczeń pardon nie będę — odpowiedział.

Huknął strzał.

Zaremba postąpił dwa kroki naprzód i padł na kolano, a potem na bok, wspierając się prawicą z pałaszem wzdłuż wyciągniętym od ciała na ziemi.

— Dobij go! — rzekł ten z jeźdźców, który strzelił.

Naówczas drugi kawalerzysta pechnął go szpicem szabli z konia w szyję.

Padł Zaremba nawznak. Jeźdźcy ruszyli klusem.

Blask księżyca mocno, jasno świecił na klingę jego pałasza.

Zaremba szepnął resztą mocy:

— Niech żyje...

* * *

Cesarz uciekał.

Wielkie lzy staczały mu się po twarzy, a Los okropny na rękę dzierzył na jego barkach.

Cóż to się stało?...

Stało się to c o ś, które przeczuwał. Przeczucie było mądrzem — ono powiedziało mu, że bitwę przegra.

Nadaremnie usiłował miejsce po miejscu zastanowić jakąś podstawę, jakiś trzon rozbitej armji, około którego dałoby się zebrać rozbitków, mieć chociaż cieni siły w rękę.

Los postanowił, aby z dnia na dzień, w przeciagu paru godzin stał się cieniem siebie samego.

W jakiejś chacie chłopskiej, rzuciwszy kapelusz, płaszcz i szpadę obok siebie, siadł na prostym zydlu i wpatrywał się w ogień kominka.

Czerwone płomienie migotały, jarzyły się, wznosiły i opadały.

Wpatrzył się cesarz w ogień.

Cichy, głuchy bęben daje się słyszeć...

To noc...

Bęben bije, przesuwa się jego głos to th, to tam...

Zbliża się i oddala — — cichy i głuchy — — czasem wydaje się bić o mil setki ogromne...

Jeden to tylko dobosz bębni pobudkę...

Wychodzą pułki po pułkach, szwadrony po szwadronach...

Nigdy ich cesarz tak milcząco posepnych nie widział...

Na wielkiem ciemnem polu gromadzą się, wodzowie sprawiają szyki...

Ah! To Wielka Armja!...

Jedzie cesarz na białym koniu, w środek wjeżdża tych kroci tysięcy...

Nigdy tak wielu ich nie było — —
lecz tu są naraz, naraz zgromadzeni...

I tylko jeden dobosz bije — — po bębnie sukmem owitym...

Ah, ah — — w mundurach tych to są szkielety...

Wichura jeźdźców w pancerzach i hełmach z grzywami jedzie galopem, defilując — cicho, jak lecą pułchacze.

Czarne konie topią w czarnej mgłę kopyta, która chwytą się ich pęcín i kopyt — — twarze tych jeźdźców: kość naga.

Ręce szkieletów prezentują broń pod bermycami grenadjerskimi, wielkie, puste oczodoły patrzą na twarz cesarza.

Nagle ci straszni jeźdźcy i ta straszna piechota grobów otwierają usta — —
długie zęby w nagiej kości szczęk rozwarły się — —
i w czarność nocy, wnika krzyk:
niech żyje cesarz!
głuszej niż samo milczenie...

Oto rewja twoja. Napoleonie Wielki!...

Piechota stoi za tobą, a przed tobą defilują galopem wkoło olbrzymie szwadrony za szwadronami z rozwiniętymi sztandarami, cichemi, jak nietoperze...

Ogromne miecze i długie szable nie szczękają w pochwach...

Okropna jest cichość tego przeglądu...

A w mroku orkiestry gwardji grają bez jednego dźwięku:

Cesarstwa dzierzmy straż...
Sztandary się kłonią przed chwałą...

Lecz wśród niemej gry orkiestr trupiej gwardji
dźwięk jakiś — — jakiś niski, dziwnie piękny głos
kobiecy — —

znany, słyszany — — mówi:

„Żołnierze, oto wasze sztandary! Te orły służyc
wam będą zawsze za punkt zborny.

Te sztandary będą wszędzie, gdzie wasz cesarz uzna
je za potrzebne...

Przysięgajcie... dzierzyć je stale na polu zwycię-
stwa.

Przysięgajcie?...“

Głos słyszany...

I znów bęben sukmem obity...

de Latour d'Auvergne, pierwszego grenadjera
Francji.

Imię... wymieniane będzie podczas wszystkich ape-
łów, a kapral oddziału, do którego należał, odpowia-
dać będzie: padł na polu chwały!...

Bęben sukmem okryty daje znak spoczynku:
i wszystko zapada się z głuchym klekotem kości — —
zostaje czarna noc i nicosć.

Głowa cesarza zwisła niemal w kolanach twarzą.

Nikt nie śmiał mu dotknąć ramienia — spał, czy
nie spał.

Tylko małeńki chłopczyk wiejski stanął z boku
i oświadczył:

— Śpi i płako...

I wetknął palec w buzię.

On jednak nie spał. Rysował się przed nim olbrzy-
mi gmach walki. Cała inteligencja Francji stanie prze-
ciw niemu z Izłą deputowanych na czele. I znowu,
po raz już trzeci nie zginął, opuścił armję i wraca po-
bity — — po raz czwarty przegrał kampanję, rok po
roku, tysiąc ośmset dwanaście, trzynaście, czternaście,
piętnaście...

Cudem powrócił na tron, lecz to, co wiedział, że
nastąpi, nastąpiło:
musi runąć...

Jakaś siła wewnętrzna, przeciwwiadoma krąży jesz-
cze w jego żyłach — — jeszcze nie umarł, choć wcho-
dzi między trupy — — krew zrywa się w jego żyłach,
jak okaleczały koń kawaleryjski, gdy trąbkę usły-
szy — —

powstaje z zydła i pisze do brata:

„...Wszystko nie jest stracone. Koncentrując swe
siły, zakłady, gwardje narodowe, będę miał natych-
miast trzysta tysięcy ludzi do przeciwstawienia nieprzy-
jacielowi... Sądzę, że deputowani spostrzegą się, że
ich obowiązkiem jest połączyć się ze mną dla ocalenia
Francji...“

I ruszył dalej ku Paryżowi. I usłyszał na popasie,
na dziedzińcu pocztowym, gdy stapał tam i zpowro-
tem z głową zwieszoną po słomie z pod koni, że gdzieś
w kącie półgłosem porównywano go do Joba na bar-
logu.

Usłyszał i skierował w tę stronę wzrok; nie czuł się
ani zdziwiony, ani dotknięty.

Nikt nie rozumiał i nie obejmował tak dobrze, tak

głęboko jego upadku, jak rozumiał go i obejmował on sam we wnętrzu własnej duszy — grał życiem i przegrał życie, swoje, swych braci, swych sióstr, swych marszałków i generałów, swego dworu i swych dygnitarzy, walił się z nim cały świat i nie było większego i straszniejszego upadku — dumne dziecko, wywlekane z pałacu, wołało nie tak dawno:

tatuś na wojnie, to ja tu jestem panem! — —
i chwytano się poręczy schodów rączkami rozpacznie...

* * *

Bonaparte się skończył — myśmy się zaczęli...

Bonaparte się skończył. Wiedział to, że mógł być uczynić w s z y s t k o: zwalając konstytucję, ogłosił się dyktatorem, stanął na czele armji i ludu, rozpędzić, uwięzić i skazać na śmierć, kogoby mu się było podobało, iść na czele ubóstwiającego go zawsze wojska i pobić Anglików i Prusaków, tak, pobić ich niechybnie i bezwzględnie, bez żadnego ryzyka, szansą zwycięstwa stokrotnie większą, niż pod Waterloo, gdyby był Grouchy nadciągnął, skąd grzmiały armaty — zrywał się, ubierał w mundur, kazał siodłać konie, wydawał rozkazy — — i nie ruszył się z miejsca, posłuszny żądaniom Izby, posłuszny żądaniom swego otoczenia, pozwalając się wzięć we własnym pałacu, dozorować przez własnego przysłanego generała, zmuszać do przyspieszenia godziny opuszczenia własnego Cesarstwa...

Widział on Przeznaczenie...

Było coś, co skazywało go na zagładę.

Fatum pętało mu seree.

Niemy nakaz Losu miał twarz Meduzy: mroził w nim krew i obezwładniał mu ręce. Nie śmiał się Losowi sprzeciwić.

Magnes fatalizmu ciągnął go. Szedł tam, gdzie czekało go Nieszczęście, dobrowolnie, bez oporu, wybierając największe, gdyż Fatum tak chciało.

Abdykował, wykreślił z aktu proklamowanie syna Napoleonem Drugim, odrzucił myśl wyjazdu do Ameryki, oddał się Anglikom.

* * *

Cesarz siedział w fotelu z owiniętymi szalem nogami.

Dwóch małych chłopczyków i córeczka generała hrabiego Montholon stali przed nim wyprostowani w szeregu, chłopcy z drewnianymi szabelkami, dziewczynka z kijem w ręku.

— Bacność! — komenderował cesarz. — Półobrotu w lewo! Marsz!

Dzieci ruszyły i obeszyły go wkóło.

— Stój!

— Prezentuj broń!

— Marsz do koszar!

Wówczas troje małych Montholon, dzieci wiernego towarzysza wygnania i niewoli, podniosły okrzyk:

— Vive l'empereur! Niech żyje cesarz!

* * *

Głucha i ciemna parna noc podzwrotnikowa dusiła piersi. Cesarz czuł, że koniec jego dni się przybliża. W ciasnym, małym pokoju w więzieniu swem angielskiem siedział z głową opartą na rękę, wyjęty z pod praw, strzeżony dzień i noc, aby już wstąpić nie mógł na ziemię, skazany na zagładę i zatracenie.

Naprzeciw na ścianie wisiał portret jego syna, portret, który niegdyś Wielka Armja w Rosji z adoracją honor miała i pozwolenie cesarskie oglądać, portret, który litościwa ręka tysiące mil przewiozła przez ocean na wyspę wygnania.

Gorące, ciężkie lzy toczyły się po nabrzmiałej chorobą niewoli twarzy, a pióro, trzymane w ręce, bezwiednie niemal poczęło kreślić wyrzucane sercem wyrazy:

De mon fils bien aimé délicieuse image;
Ce sont bien là ses traits, sa beauté, sa candeur,
Je ne le verrai plus: sur un plus doux rivage
Ne pourrai-je jamais le presser sur mon coeur?
O mon fils! mon cher fils! qu'aujourd'hui ta présence
A ton malheureux père épargnerait d'ennui
Sous mes yeux, je verrais s'élever ton enfance:
Plus tard, de mes vieux ans tu deviendrais l'appui.
Seul, tu me prendrais lieu de couronne et de gloire,
Prés de toi, sur ce roc, je me croirais aux cieux;
T'embrassant, j'oublierais que quinze ans la victoire
Avait placé ton père au rang des demi-dieux...

Cesarz mówił do towarzyszków niewoli:

„Gdy umrę, każdy z was będzie miał słodką pociechę powrotu do ojczyzny. Zobaczycie jedni z was rodziców, drudzy przyjaciół waszych, a ja odnajdę moich

dzielnych na Polach Elizejskich. Tak, Kleber, Dessaix, Bessières, Duroc, Ney, Murat, Masséna, Berthier, wszyscy wyjdą na moje spotkanie; będą oni mówili o tem, czego dokonaliśmy razem. Opowiem im ostatnie dzieje mego życia. Oszaleją na widok mój od entuzjazmu i chwwały.

* * *

Cesarz rozkazał tłumaczyć Anglikowi słowo w słowo:

„Przyszedłem usiąść przy ognisku ludu angielskiego; żądałem uczciwej gościnności, a wbrew wszelkim prawom ziemi, odpowiedziano mi przez żelaza... Anglja wzięła na siebie danie światu niesłychanego widowiska czterech wielkich potęg mordujących jednego człowieka...

Sześć lat trzymaliście mnie na torturze tajemnej... w klatce, mnie, który przebiegałem konno całą Europę... Wy skończycie, jak republika wenecka, a ja, umierając na tej strasznej skale, zdala od moich, pozbawiony wszystkiego, leguję hańbę i okropność mej śmierci panującemu domowi Angliji!...”

* * *

W głowie cesarza, wspartej o poduszkę, przesuwając się poczał obraz, jak obłok letni daleki, ledwo widny ze śmiertelnego łoża.

Mały dom na Korsyce, jej wojny z Francuzami, szalona do Francji nienawiść...

Młodość, pełna dumy, uboga aż do nędzy ostatniej... Tulon zwycięski...

Alpy i bitwy, miasta włoskie, triumfy, pustynie, Piramidy. Sfinks, Ziemia Święta, Paryż...

Olbrzymi, nadludzki, przez nikogo więcej nie przeżyty sen króla królów...

Jakież to może być prawo?

Nie jest to prawo ani bóstwa, ani przeznaczenia — — ani bóstwo, ani los nie mogą być głupie, jak głupim jest człowiek.

Świat widocznie toczy się kołem; koło toczy się po drodze, wykonywając swoje obroty — — w ten sposób posuwa się byt...

Gdyby był największą z gwiazd, byłby świecił spokojnie — — lecz był tylko jednym z ludzi — — musiał ich wszystkich ujarzmić — — być największym — —

wysoko, daleko nad nimi — —
bezsprzecznie, bezspornie nad nimi — —
a to jest władza.

Poco jest władza najwyższa?...

Być od ludzi najdalej...

Jest świat wyobraźni — —
jest to świat Cezara — —

Ciehy, olbrzymi świat nieskończonej przestrzeni, nieskończonego błękitu, na którym pała słońce więcej złote i diamentowe, niż rzeczywiste — —

nie ciszy tej nie maści, nie pustki tej nie plami, tylko ogromne orły myśli Cezara pływają i krążą w tej nieskończoności, bez piór szelestu, krzyżując się, wymijając i spotykając ze sobą — —
to są ptaki marzenia...

To są ptaki boskiej potęgi...

Wysoko, daleko, królewsko nad światem — — —

I dlatego grzął but we krwi i mięsie ludzkim po ostrogu — — —

Jeden bóg świata siebie dla swego snu niezmiernego błękitu i słońca diamentowego pod stopy krwawe w jego ciele ludzkim podesał — — —

Inny bóg dla swego snu na ludzkich ciałach stanął — — —

obu wiedzie Marzenie...

Jest świat Wyobraźni silniejszy, potężniejszy, niż świat istotny — —

i po złomach istotnego świata, łamiąc go i krusząc, po zrębach jego, krwawiąc je własnym ciałem podartem, lub krwawiąc je zwałami ciał, wstępują Oni — —
a rzeczywistość jest niczem...

Zaiste! proch jest chwała ziemi — —

Bóg szuka jej w chórach aniołów — —

i Duch Wielki szuka jej w ciszy niezmiernego błękitu pod złotodiamentowym słońcem — —
gdzie wszystko staje się jednią, jednością, trwa i płynie, płynie i trwa — —
a przedewszystkiem niedostępne jest dla kurzu ziemi, którym się pogardza — —

Boskie słowo: pogarda — —

ileż ono daje szczęścia, ile upojenia — —
zastąpić może rozkosz życia — —

i stać się siostrą duszy — —

nieodparte, nieobjęte, niezwalczone, dumne, jak lew

i wspaniale, jak kondor na niedostępnym dla żadnego oddechu wierzchołku Gór Skalistych...

Ono zastąpić może moc wydartą — —
nikt nigdy nie wydrze go, pogarda przebija deski trumny, nasyp ziemi i mur grobowca...

Sen cichy, sen wieczysty — —
nad dziełem głośnie i pełnym wrzawy, grzmotu armat nawet i brzmienia trąb, on unosi się, podobny nieśmiertelnemu bóstwu...

* * *

W głowie cesarza wiechrzył się szalony obraz; oto parta przez Austriaków armja jego cofa się z pod Alp, z pod Marengo... panika ją chwyta...

Cała budowa jego marzeń się wali!...

Zapada się dumny sen o panowaniu nad światem...

Wszystko idzie w proch i kurz...

Cała chwała zdobyta... wszystko... wszystko...

Czarna otchłań nicości; gorzej, zwalania się w nicłość z monumentu, otwiera się pod stopami pierwszego konsula...

Ah! Ah! Rozpacz!

Łzy świerzbą mu źrenice — —
wszystko stracone...

Lecz ah! Oto Dessaix spogląda na zegarek.

Ta bitwa jest przegrana, lecz jest dopiero trzecia, mamy czas wygrać drugą — mówi...

Jaka cudna, jaka zielona trawa, na której siedzą obadwaj...

Oto szarża — —

ah! ah! Dessaix! Kleber! Masséna! Mamy ich! Naprzód!
Marsz! Marsz! Zwycięstwo...

Słońce! Słońce! Słońce! Austerlitz!...

Dźwignął się z łoża, rzucił, padł w tył...

Jeszcze słowa: głowa!... armja!... Boże!...

* * *

Szalona burza waliła drzewa ogrodu Longwood. Wyspa Świętej Heleny zdawała się być nawiedzona przez gniew bogów podziemnych. Ocean bił w skały wybrzeżne słupami piorunującymi wody.

Lecz cesarz spał już spokojny. A do matki jego biegły wyrazy:

„powiedźcie jej, że wielki Napoleon wyzionął ducha w opłakanym stanie... pozostawiony sobie samemu i chwale...”

* * *

Źrenice zamknęły się — na zimne, martwe usta cesarza wystąpił uśmiech — —
i uśmiech ten będzie trwał do skończenia świata.



259684

BIBLIOTEKA GROSZOWA WENDEGO

1. **London J.** Na Szlaku.
2. — Opowieści Mórza Południowych.
3. — Syn Słońca.
4. — Zew krwi.
5. **Dygasiński A.** Z pod ciemnej gwiazdy.
6. **Maupassant G.** Miłość.
7. — Panna Fifi.
8. **Tetmajer-Przerwa K.** Waterloo.
9. — Gra fal.
- 10/11. **Kraszewski J. I.** Hrabina Cosel.
12. — Ostatni z Siekierzyńskich.
13. **Dumas A.** (syn). Dama Kameljowa.
14. — (ojciec). Neron.
15. **Twain Mark.** Humoreski.
16. **Thakeray.** Burleski.
17. **Champsaur F.** Ouha, Król Małp.
18. **Maupassant.** Kulka Łojowa.
19. — Szalony.
20. — W pewnym lokalu.
21. **Wells G. H.** Podróż w czasie.
22. **Korzeniowski J.** Spekulant.
23. **Dygasiński A.** Złamane Życie.
24. **Grubiński W.** Baal.
25. **Rachile.** Myszka Japońska.
26. **London J.** Wyga.
- 27/28. **Gallet.** Kapitan Czart czyli Przygody Cyrana de Bergerac.

Cena każdego tomu **95 groszy**